ŻYCIE

ROK XI NR 17 (514) NIEDZIELA, 28 KWIETNIA 1957. CENA 1/6.



Fot. Bernard Rouget, Marokańskie Biuro Turystyczne

ŹRÓDŁA ENERGETYCZNE NIEPODLEGŁEGO MAROKA — ZAPORA WODNA W BIN EL UIDAN.

(Patrz „El Moghreb i Polacy", str. 9 - 13)

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK XI NR 17(514)

Niedziela, 28 kwietnia 1957 r.

Wydaje:

KATOLICKI OSRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2. Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3 - 4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.
Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl. 6/6, dol. 1.10, fr. fr 330; kwartalnie: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950. **Wpłaty:** a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Życia".

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr.1.000. Kolor. 100% drożej.
PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister,** 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme E. Kułakowska,** 129 Rue du Cornet, Bruxelles 4. Pren. kwart. 130 frs. **Brazylia: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks. K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers,** Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service,** 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Av., Albany, N.Y; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; **S. J. Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N.J.; **Veritas Americana,** 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.00 fr. **Szwecja: Mgr. B. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 9.75 krs. **Włochy: Mme Z. Bułhak-Jelska,** via Salaria 300 C Roma.

LISTY DO REDAKCJI

SZLACHECTWO I SYGNETY

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytawszy artykuł p. J. B. „Szlachta", drukowany w nrze 11 czasopisma ŻYCIE (z 17. 3. 1957), pozwalam sobie prosić uprzejmie o zamieszczenie w całości niniejszego listu.

Przechodząc z kolei do tematu, zauważyłem na wstępie, że tu i ówdzie, autor wyraża się niezgodnie z nauką historii, a głównie z heraldyką. — I tak, już w pierwszych liniach p. J. B pisze o tym, że „co dziesiąty Polak dodaje do swojego nazwiska swój herb rodowy: Półkozic, Ostoja, Sas lub Śreniawa, a co dwudziesty wykłuwa oczy bliźnim ogromnym sygnetem".

Otóż, w tym wypadku sprostować należy, że w myśl zasad heraldyki polskiej, nazwa herbu jest jednocześnie właściwą nazwą rodu, do którego dana rodzina należy, a dalsze nazwisko urobione zostało dopiero w początkach XV wieku, od nazwy miejscowości, z której ten, czy ów szlachcic pochodził, lub też od imienia ojca, względnie przezwiska. — Używanie więc nazwy herbu przed nazwiskiem ułatwiało i ułatwia dotychczas, orientację, do jakiego rodu dana rodzina należy, zwłaszcza gdy chodzi o rodziny mające jednakowo brzmiące nazwisko, a będące przecież zupełnie innego pochodzenia. —

Tak dajmy na to mamy Lubiczów Zaleskich, Jelita (Saryusz) Zaleskich, Prawdzic Zaleskich i Dołęga Zaleskich. —

Co do „wykłuwania oczu bliźnim sygnetem", pozwalam sobie stwierdzić, że zwyczaj noszenia sygnetu jest bardzo starożytnym i chwalebnym zwyczajem, oczywiście, o ile na sygnecie wyryte jest godło należące się istotnie noszącej go osobie. Pozwalam sobie dodać tu również, że godna i poważnie pojęta duma z powodu przynależenia do warstwy szlacheckiej jest rzeczą właściwą, o ile — rzecz jasna — nie jest próżna i pusta, a przede wszystkim jeżeli nie łączy się z pychą. —

Herb, moim zdaniem, to klejnot mający tylko wówczas istotną wartość, o ile równoważy się z zaletami serca i duszy. Nieszlachetny szlachcic, chociażby miał najszczytniejszy rodowód i najwspanialszy sygnet, odziedziczony po przodkach, nie jest dla mnie szlachcicem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Podział ludzi na klasy, na krew lepszą i podlejszą (powiedzmy „mniej dobrą") jest biegiem naturalnym, którego żadne prawo zmienić nie może. Z tym musimy się zgodzić i tylko zawiść różnych czerwonych demagogów wysila się, aby zniwelować społeczność. Jesteśmy równi, co prawda, wobec Boga, lecz wedle tego „Najświętszego Prawa" mamy również prawo do wznoszenia się ponad poziom, w miarę naszych wysiłków i talentów. Tej zasady trzyma się także Kościół, a Stolica Święta wynagradza zasługi swych wiernych nadając im dostojeństwa szlacheckie.

Zgadzam się ze zdaniem autora, że szlachta powstała w dziejach nie dla przywileju wywyższania się, lecz dla pełnienia określonych obowiązków, powołanie swoje jednak („rychło" — powiedzmy częściowo) zdradziła. Natomiast bezwarunkowo nie zgadzam się z autorem, gdy pisze: „Zasługi szlachty w historii Polski są bardzo przesadzone zwłaszcza na polu rycerskim — gdyż — szlachta głównie wystawiała wojsko ze swych poddanych — chłopów".

Nie jest to zupełnie ścisłe: nie zapominajmy chociaż o tzw. „towarzyszach pancernych", z których składały się całe chorągwie husarskie w epoce królów elekcyjnych. Jeżeli natomiast chodzi o tę „większość" nadań herbów pochodzących nie tyle z czynów rycerskich, co zasług wobec dworu, a zwłaszcza szkatuły królewskiej", to pamiętajmy o tym, że chociażby tylko królowie Władysław IV, Jan Kazimierz i Jan III nadali szlachectwo wielu tysiącom chłopów, którzy odznaczyli się na polach bitewnych w szeregach piechoty łanowej.

Czy od szlachty z urojenia roi się polska ziemia — to kwestia. Ks. Kasper Niesiecki, T. J — przy końcu swojego herbarza — słusznie pisze: „Jest mnóstwo jenszej szlachty polskiej, o której ja wiedzieć nie mogę".

Wskutek niesłychanych kataklizmów, jakie wciąż spadały na Polskę i wskutek — niewątpliwie — nieuregulowania, do czasów rozbiorów, sprawy rejestracji szlachty polskiej, wiele rodzin nie mogło wylegitymować się ze swojego pochodzenia, nie neguje to jednak istotnego faktu ich przynależności do stanu szlacheckiego.

Nie zaprzeczam, że mieszczaństwo przyczyniło się do podniesienia naszej kultury narodowej, ale też pragnę podkreślić, że główną zasługę ma tu możniejsza szlachta polska, a zwłaszcza ziemiaństwo kresowe w zaborze rosyjskim i pruskim.

Krzywdy społeczne zadane wszystkim stanom przez szlachtę zbyt są przez p. J. B. przesadzone, by się nad tym rozwodzić, należy tu jednak podkreślić, że zawiść i zazdrość wielu demokratów polskich została wykorzystana przez pewne obce agentury, bardzo wrogo usposobione dla Kościoła rzymsko-katolickiego, aby w ten sposób podważać imię polskich domów szlacheckich będących w większości wypadków ostoją patriotyzmu i przywiązania do naszej religii.

Witold Cieński

Londyn.

PIOSENKA O HIERONIMUSIE

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Na marginesie ciekawego artykułu w zakresie lotnictwa, napisanego przez p. T. F. pt. „To tylko 50 lat" (ŻYCIE nr 508 z 17. 3) miałbym kilka uwag, jeśli Pan Redaktor uważałby za możliwe udzielić mi łaskawie nieco miejsca.

Przed lotem we Lwowie inż. Hieronimusa w 1910 roku miał miejsce nieudały lot innego lotnika-Francuza, który próbował wznieść się w górę wprost z łąki między cmentarzem zakładu kulparkowskiego a szosą prowadzącą do Sokolnik i Nawarii, naprzeciw Skniłowa W niedzielne popołudnie, tysiące ludzi ze Lwowa i okolic, zwabionych tą sensacją, patrzyło na daremną mordęgę lotnika, który kilkakrotnie próbował wystartować z wykoszonej łąki i nic z tego nie wyszło. Wspaniały wyczyn Hieronimusa dał wreszcie pełną satysfakcję ludności lwowskiej, ale tu właśnie nasuwa mi się druga uwaga.

Autor artykułu przytacza fragment piosenki lwowskiej dotyczącej tego lotu, która mogłaby słusznie wzbudzić zgorszenie swoją treścią wręcz obrażającą uczestników tego wspaniałego widowiska: „I dziwi się hołota, widząc pilota, a był to Hieronimus, uczeń Blériota". Dlaczego „hołota"? — pomyśleć może dzisiejszy czytelnik, nie bacząc, że to, po pierwsze, piosenka mająca 50 lat, po drugie, że to wytwór czysto lwowskiego środowiska tych dawnych czasów, po trzecie zaś i to

(Dokończenie na str. 4)

POLSKA PIELGRZYMKA MARYJNA DO AYLESFORD

Polski Rok Maryjny zapoczątkowany 3 maja 1956 roku hasłem: „Stawiamy wszystko na Królowę Polski" ma się ku końcowi.

W niedzielę, 5 maja, odbędzie się na Jasnej Górze pielgrzymi zjazd Polaków ze wszystkich stron Kraju, podobnie jak to było 26 sierpnia ubiegłego roku z tą tylko różnicą, że na tronie prymasowskim nie będą Prymasa Polski reprezentowały kwiaty, ale zasiądzie On sam, we własnej osobie, jako Ojciec i Najwyższy Dostojnik Kościoła w Polsce.

W orędziu Episkopatu Polskiego zarządzającego Polski Rok Maryjny czytaliśmy:

„Za równe dziesięć lat mamy stanąć w obliczu całego chrześcijaństwa i odprawić wielką spowiedź publiczną wobec wszystkich narodów, Bogu Wszechmogącemu, Błogosławionej Maryi, zawsze Dziewicy, i Kościołowi... Jak wygląda naród od tysiąca lat ochrzczony, a od trzystu lat oddany pod berło Królowej Niebieskiej i rządzony Jej Niepokalanym Sercem?

Pytanie to stawia nam dzisiaj Opatrzność i nikt nas od tej odpowiedzi nie zwolni. Nasze pokolenie dźwiga odpowiedzialność za oblicze Polski w tysiąclecie Chrztu i za jej Maryjne posłannictwo.

Zbieg okoliczności dat jest nader wymowny, mówi sam za siebie. Bóg, który rządzi światem i historią, przewidział te rocznice i dał nam je jako łaski do wykorzystania. Przeoczenie ich i niewykorzystanie byłoby może odrzuceniem idącej ku nam z pomocą i ratunkiem Królowej Polski".

W spojrzeniu wstecz na przebieg minionych miesięcy Polskiego Roku Maryjnego możemy powiedzieć, że nasi Rodacy w Kraju swym maryjnym sumieniem wyczuli, że Rok ten jest rzeczywiście „Bożą szansą Narodu Polskiego do zwycięstwa w Imię Maryi" i jak Polska Polską a Jasna Góra Jasną Górą tak olbrzymiej rzeszy pątników, jaka obległa 26 sierpnia ubiegłego roku Cudowny Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, nie notowały dzieje.

Co się wielkiego i znamiennego dokonało w Polsce po tym modlitewnym oblężeniu Jasnej Góry i zanoszonych tam do Tronu Wspomożycielki Wiernych i Królowej Polski suplikacjach, wiemy. Wbrew obliczeniom ludzkim i na przekór ciemnym machinacjom mocarzy „tego świata" Matka Boża przyjęła modły ludu swego i okazała się mu nader można i łaskawa jako Virgo Potens i Virgo Prudens.

„Wykonanie ślubowań Maryjnych Narodu, złożonych na Jasnej Górze dnia 26 sierpnia 1956 roku ma przez najbliższe 10 lat przynieść polskiemu chrześcijaństwu wewnętrzne pogłębienie i uświęcającą skuteczność. Pierwszym ku temu krokiem będzie odnowienie ślubowań w parafiach, aby cały naród poznał ich treść i poddał swe życie ich uświęcającym mocom" — tak mówi instrukcja Kardynała Prymasa z dnia 2 lutego br., w której zakończeniu czytamy: „To praca pilna i konieczna, którą z zaufaniem powierzam Drogim Braciom Kapłanom w nadziei, iż podejmą się chętnie dla Maryi, ze świadomością, że będzie ona owocnym aktem odrodzenia chrześcijańskiego Narodu Polskiego w Jego pochodzie ku promiennemu Jubileuszowi 1000 lecia Chrztu Polski".

Jak w Kraju odbywają się we wszystkich parafiach specjalne nabożeństwa i przygotowania na kulminacyjny dzień Polskiego Roku Maryjnego, mianowicie

na niedzielę 5 maja,

kiedy to na Jasnej Górze znów milionowa rzesza wiernych Polaków powtórzy ślubowania, jak równocześnie we wszystkich innych świętych miejscach poświęconych Matce Najświętszej tłumy pielgrzymów polskich błagać będą Królowę Polski o dalszą opiekę, jak we wszystkich parafiach polskich wszyscy rodacy nasi połączą się duchowo z Jasną Górą,

tak samo Polacy na c a ł y m świecie zjednoczą się z narodem w błagalnych modłach, aby uprosić dla Ojczyzny jak najwięcej owoców duchowych, szczególnie zaś wolności i pokoju.

Polacy w Kraju czy na obczyźnie stoją w przededniu doniosłego aktu religijnego i narodowego, w obliczu wielkiego zadania — odmiany swego życia moralnego i społecznego i odnowienia przyrzeczeń królewskich.

Zarządzeniem Opiekuna Emigracji Polskiej, J.E. Księdza Arcybiskupa Józefa Gawliny, na zakończenie Roku Maryjnego ustanowiona została we wszystkich naszych polskich ośrodkach parafialnych N o w e n n a do Królowej Polski, która potrwa od 24 kwietnia do 4 maja.

Kto nie będzie mógł wziąć udziału we wspólnych modłach ten winien odprawić nowennę prywatnie.

Na samą niedzielę, 5 maja, podobnie jak to uczyniliśmy 26 sierpnia w ubiegłym roku, organizujemy

WIELKĄ PIELGRZYMKĘ DO AYLESFORD

w hrabstwie Kent, siedziby O.O. Karmelitów i miejsca świętego, wsławionego św. Szymonem Stockiem i objawieniami Matki Boskiej Szkaplerznej.

Żywimy przekonanie, że nie tylko ci wszyscy rodacy, którzy wzięli udział w pielgrzymce do Aylesford 26 sierpnia, ale tym razem daleko większa liczba Polaków da wyraz solidarności z Krajem i że w tym samym czasie, kiedy to Prymas Polski będzie odbierał ślubowanie narodu polskiego. Polacy za granicą przystąpią wspólnie do Stołu Pańskiego i składać będą te same

p r z y r z e c z e n i a.

(—) **Ks. Infułat B. Michalski**
(—) **Ks. Prałat W. Staniszewski**

»OSSERVATORE ROMANO«

Środa 13 marca: opis uroczystości koronacji Piusa XII w bazylice św. Piotra na Watykanie w obecności kardynałów, arcybiskupów, biskupów, duchowieństwa świeckiego i zakonnego, prezydenta Irlandii, ministra spraw zagranicznych Hiszpanii, Korpusu Dyplomatycznego i rzesz wiernych.

Niedziela 17 marca: przemówienie Papieża (w języku portugalskim) do przełożonych i alumnów Papieskiego Kolegium Portugalskiego w Rzymie; św. Kongregacja Rytów dysputowała nad sprawą nieoddawania dotychczas publicznie czci Słudze Bożemu Piusowi IX (1846-1878).

Poniedziałek-wtorek 18-19 marca: audiencja u Ojca św. wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Richarda H. Nixona; przemówienie Papieża (w języku angielskim) do wiceprezydenta, jego małżonki i świty; tekst pisma prezydenta Eisenhowera do Papieża, które wręczył wiceprezydent Nixon.

Piątek 22 marca: przemówienie Papieża (w języku francuskim) do artystów „Comédie Française"; audiencja nowego ambasadora Ekwadoru dra Rafaela Leona Larrea; artykuł z racji nawiązania normalnych stosunków dyplomatycznych Stolicy Apostolskiej i Etiopii.

Sobota 23 marca: przemówienie Papieża (w języku hiszpańskim) do nowowyświęconych księży Papieskiego Kolegium Hiszpańskiego w Rzymie; Motu Proprio „Sacram Communionem" Piusa XII z 19 marca w sprawie postu Eucharystycznego (podane w ŻYCIU w nrze 14 z 7 kwietnia) i komentarz kardynała Alfredo Ottaviani.

Niedziela 24 marca: przemówienie Papieża (w języku angielskim) do studentów Akademii Amerykańskiej w Rzymie; list Papieża (w języku włoskim) do o. Riccardo Lombardi w sprawie „Ruchu O Lepszy Świat".

Poniedziałek-wtorek 25-26 marca: obszerne przemówienie Papieża (w języku włoskim) do 50.000 uczniów państwowych szkół średnich w Rzymie.

PUNKTY WIDZENIA

„RZECZY STARE I NOWE"

Minęła Wielkanoc, zaczął się czas wielkanocny, trwa jeszcze tydzień in albis, w którym ongiś ochrzczeni w dzień Zmartwychwstania nowi wierni nosili jeszcze swe białe szaty, jako oznakę wielkiej zmiany w ich duszach. Chodzimy i my wszyscy jeszcze in albis od blasku, jakim opromienia nas chwała Zmartwychwstającego.

Pełne chrześcijańskie przeżycie tej największej z tajemnic obejmuje nie tylko samo Święto, ale i cały okres przygotowania do niego w ciągu Wielkiego Postu, a w szczególności podczas ostatnich dni Wielkiego Tygodnia, których obrzędy uległy ostatnio ważnym zmianom.

Zwyczajem polskim przygotowywano się do godnego obchodzenia Wielkanocy na rekolekcjach wielkopostnych, nielicznych zamkniętych i bardzo licznych otwartych. Wszędzie ilość uczestników była znaczna i, jak stwierdzają duszpasterze, większa niż w latach ubiegłych. Zwiększyła się na nich ilość ludzi młodych i mężczyzn. Wielu studentów polskich wzięło udział w rekolekcjach akademickich w Londynie. I tu nasuwają się pewne refleksje. Dlaczego urządzane w Wielkim Poście rekolekcje skupiają się zawsze w jego drugiej połowie, głównie między I niedzielą Męki Pańskiej a Wielką Środą, co sprawia, że nasi księża, którzy sobie wzajemnie pomagają, są wtedy bardzo przemęczeni. Przeniesienie rekolekcyj na pierwszą połowę Wielkiego Postu lepiej też przygotowałoby wiernych do pełniejszego przeżycia samego Postu i święcenia Wielkanocy.

Obserwując wśród znajomych młodych ludzi wpływ rekolekcyj na młodzież akademicką, dochodzę do wniosku, że wprost nieocenioną w skutkach byłaby akcja polegająca na tym, aby nasi rekolekcjoniści lub przynajmniej jeden z nich mógł w czasie roku objechać wszystkie ośrodki uniwersyteckie, gdzie tylko studiują Polacy, i przez specjalne konferencje rekolekcyjne, zebrania młodzieży i rozmowy z młodymi ludźmi nieść im pomoc i poradę w zasadniczych sprawach życiowych, której często są zupełnie pozbawieni, a której bardzo potrzebują. Były takie próby przed kilku latami i wynik ich był widoczny, warto by więc powrócić do tej praktyki, na którą środki powinny się znaleźć.

W tym roku już po raz drugi byliśmy uczestnikami obrzędów odnowionej liturgii wielkotygodniowej. Wśród innych tytułów do wiekopomnej zasługi obecnego Papieża pozostanie i ten, że jest on wielkim odrodzicielem wspaniałej prostoty dawnej liturgii. Dzieło swe w tym zakresie rozpoczął właśnie od obrzędów wielkotygodniowych i wielkanocnych, gdyż z jego rozporządzenia powrócono w Kościele do dawnych, prostych form i znów związano przepiękne obrzędy paschalne z porami dnia, w których się dokonały tajemnice Odkupienia. Przeniesienie tych obrzędów z godzin porannych na wieczorne umożliwiło udział w nich jak najszerszym rzeszom wiernych, które wiele z tych nabożeństw znały jedynie z opisów liturgicznych. Jak dalece zmiana ta odpowiadała głębokim potrzebom wiernych, świadczy fakt, że zarówno po wprowadzeniu jej w ub. roku jak i w tym udział tłumów w obrzędach przeszedł wszelkie oczekiwania.

Najważniejszą jednak zmianą jest przywrócenie Wielkiej Sobocie jej pierwotnego charakteru dnia aliturgicznego, w którym nie odprawiało się żadnych nabożeństw, gdyż Zbawiciel spoczywał w grobie. Dopiero późnym wieczorem zaczynała się wigilia czyli czuwanie oczekujących na Zmartwychwstanie, które się kończyło Mszą św. odprawianą o świtaniu. Po starannych studiach i próbach paruletnich przywrócono ten charakter Wielkiej Sobocie i wprowadzono obrzędy nocne, które się zasadniczo składają z wigilii czyli jutrzni, Mszy rezurekcyjnej i porannej modlitwy Kościoła zwanej Laudes. Podobieństwo do wigilii Bożego Narodzenia jest zupełne, z tym, że obchodzenie tej ostatniej nie uległo w ciągu wieków takim zmianom j... wigilii Zmartwychwstania.

Tak więc teraz prawdziwie obchodzimy Wielką Noc. Nasza nazwa tego święta pochodzi bowiem z pierwszych lat chrześcijaństwa w Polsce, kiedy w całym Kościele jeszcze zachowywano te stare, nocne obrzędy. Chociaż czasy i formy obrzędowe się zmieniły, w nazwie pozostała istota błogosławionej nocy Zmartwychwstania. Kiedyś udzielano w nią chrztu katechumenom, dziś my, wszyscy wierni, idąc za naszym Zbawicielem przechodzimy od śmierci do życia, od grzechu do łaski. Odnawiamy więc przyrzeczenia z naszego chrztu, uczestniczymy w świętej Ofierze rezurekcyjnej i po niej (w Laudes) opiewamy nawiedzenie przez niewiasty pustego już Grobu.

Ta zmiana ma wpływ i na te nasze polskie zwyczaje wielkanocne, które są związane z dniem wielkosobotnim. Wiążą się one nie tylko ze święceniem ognia i wody w ten dzień, nie tylko obejmują święcenie potraw, ale mamy w Polsce procesję rezurekcyjną, urządzaną w bardzo wielu parafiach w Wielką Sobotę wieczorem. Procesja ta, zwana krótko „rezurekcją" jest jakby wyniesieniem poza mury świątyni tryumfu Zmartwychwstałego i okazaniem Go wszystkim, jak też i wyrażeniem naszej radości z tego tryumfu. Nie może zatem Rezurekcja poprzedzać wigilii i Mszy rezurekcyjnej, jako głównego obchodu święta Zmartwychwstania. Jak więc widzimy, następują i w naszych zwyczajach zmiany, które zarazem wskazują na wzajemne proporcje rozmaitych części wielkanocnego nabożeństwa. Ma to wielkie znaczenie u nas, gdzie często jeszcze wielu rodakom drugorzędne zwyczaje wielkanocne przesłaniają istotną treść przeżycia religijnego.

Żyjąc w Anglii możemy ostatnio obserwować wzrastające zainteresowanie problemami religijnymi, a nawet katolickimi. Zdarza się, że nie mogący się nadziwić pełnym kościołom katolickim pastorzy wprowadzają dla zachęty spowiedź uszną i przywracają liturgię. Prasa zaczyna stwierdzać, że pod względem religijności nie jest tak źle jak się twierdzi; że więcej ludzi wierzy niż przypuszczano i że tematyka religijna zawsze może liczyć na powodzenie w prasie, książce, kinie i telewizji. Wypadnie się tym zająć obszerniej kiedy indziej.

Dziś, w Niedzielę Przewodnią, w którą dawniej w Polsce zmieniano dzierżawy i przeprowadzano się na nowe, warto przypomnieć, że to powracanie na Boże dzierżawy nie odbywa się bez wpływu i przykładu naszego Kościoła, który jak gospodarz z Ewangelii wyjmuje ze swego skarbca „rzeczy stare i nowe", ale wiecznie żywe.

J. Cz.

(Dokończenie ze str. 2)

jest najważniejsze, że tego rodzaju piosenki aktualne układała na poczekaniu lwowska ferajna „batiarów", takich, co to „ale mi się nic nie stało, bom ja chojrak, jakich mało". „Batiar" lwowski miał w tych czasach soczysty jęzor, był jednak „honorny" i wiedział, kiedy i na co sobie może pozwolić. Inaczej będzie wyglądać wszystko, jeśli się przytoczy całość tej piosenki:

„Tam na torze Cetnera,
co za cholera?
Ma dwa skrzydła i motor
i propelera!!
I dziwi się hołota
widząc pilota,
wszakże to Hieronimus,
uczeń Blériota!"

Tę lwowską aktualną piosenkę śpiewano już w kilka dni po locie, na gorąco i to jest sedno rzeczy. Śpiewano ją na nutę modnego wówczas kankana.

Łączę wyrazy szacunku i nie sądzę, żeby „To tylko 50 lat" miało urazę do „To tylko 70 lat" i to z naddatkiem

Józef Frankiewicz

Mepal.

KRONIKA

WYSTAWA PRAC J. FACZYŃSKIEGO

Obecna wystawa obrazów i rysunków znanego szeroko artysty, ilustratora wielu wydawnictw „Veritasu" inż. Jerzego Faczyńskiego, urządzona w sali odczytowej polskiej YMCA przynosi wiele cennych prac.

Faczyński należy do tych współczesnych artystów polskich na emigracji, którzy nie silą się na dziwactwa tak obecnie modne. Harmonia, która panuje między rysunkiem a kolorem jest może najłatwiej uchwytną cechą jego malarstwa, być może daje w ten sposób znać o sobie zawód artysty, architektura. Architekci wycisnęli — jak wiemy — przemożne piętno na sztuce współczesnej.

Drugą cechą, którą uważamy za warunek prawdziwej sztuki, jest uczciwy stosunek do rzeczywistości. Każdy obraz Faczyńskiego jest bliższą czy dalszą relacją do rzeczywistości, szczerą i piękną.

Spojrzenie artysty jest świeże i oryginalne, obrazy i rysunki posiadają cechy osobowości autora.

Z obrazów wystawionych obecnie bardzo interesujące zestawienia błękitu i zieleni posiadają „Łabędzie na rzece", a szczególnie harmonijna w rysunku jest „Baletnica". Może najbardziej udana jest „Głowa kobiety z warkoczem", zaś „Grająca na fortepianie" w ciekawy sposób oddaje wrażenie rytmu. Rodzaj talentu predystynuje Jerzego Faczyńskiego do ilustracji książkowej, okładki, afisza, ale również ma on poważne osiągnięcia w obrazach przeznaczonych do zdobienia wnętrz. W porównaniu do wystaw poprzednich tego artysty, widzimy postęp w kierunku kondensacji wyrazu, uproszczeń, likwidowania szczegółów na korzyść całości, używania jaśniejszych tonów, wielkiego opanowania techniki malarskiej. Najlepszym obrazem wystawy jest — moim zdaniem — „Pracujący przy kopaniu rowów". Posiada on sugestywne zestawienia popielatych i czarnych tonów przy nieznacznym wtrąceniu innych żywszych barw. Obraz mówi o tym w pełni co artysta reprezentuje. Wystawę warto zobaczyć, jak też warto pogratulować jej artyście.

S. L.

W następnym numerze ŻYCIA, który ukaże się w dniu 5 maja, Czytelnicy znajdą obszerne omówienie znaczenia i roli Polskiego Roku Maryjnego w życiu naszego narodu, jak również wiele zdjęć z uroczystości krajowych.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

ROK XI — NR 17(514) LONDYN, NIEDZIELA, 28 KWIETNIA 1957

W SPRAWIE HARCERSTWA

Na czele działu „ŻYCIE KRAJU" bieżącego numeru zamieszczamy artykuł Jędrzeja Giertycha na temat harcerstwa, mimo że jest to artykuł dyskusyjny. Nie wszystkie twierdzenia autora trafiają nam do przekonania. Sprawa jednak jest tak ważna, a zasadnicza teza artykułu tak oczywista, że zagadnieniu należy poświęcić wielką uwagę. Powyższy głos w dyskusji na temat harcerstwa wywoła niewątpliwie dalsze wypowiedzi i opinie.

RED.

Mam nadzieję, że Redakcja ŻYCIA pozwoli dawnemu, wieloletniemu działaczowi harcerskiemu, oraz autorowi książki „My, nowe pokolenie", która odegrała w harcerstwie pewną rolę, zabrać głos celem odpowiedzenia na artykuł „Lilia i krzyż" w nrze 13 ŻYCIA z dnia 31 marca, oraz przedstawienia w tej sprawie poglądu biegunowo odmiennego.

Artykuł ŻYCIA zdaje sobie sprawę z prób odbudowania Związku Harcerstwa Polskiego, przedsiębranego w Kraju przez grupę instruktorów harcerskich, na której czele stoi Aleksander Kamiński. Zjazd instruktorów harcerskich postanowił przywrócić nazwę Związek Harcerstwa Polskiego i niektóre godła zewnętrzne, oraz wybrał Naczelną Radę Harcerską, z Aleksandrem Kamińskim jako przewodniczącym na czele.

Artykuł ŻYCIA krytykuje niektóre uchwały wznowionej Naczelnej Rady Harcerskiej, na przykład skreślenie wyrazu Bóg z pierwszego punktu Prawa Harcerskiego: „Harcerz służy Bogu i Polsce", oraz przyjęcie deklaracji, że „ZHP pracuje pod ideowym przewodnictwem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej", w sumie jednak ocenia pozytywnie fakt wznowienia w pewnej formie działalności harcerstwa w Kraju. Konkluzja artykułu brzmi: „Wierzymy mocno, że pod uczciwym i mądrym kierownictwem młodzież harcerska w Polsce będzie postawą swą i postępowaniem wiernie wypełniać również i te nakazy prawdziwego Prawa i Przyrzeczenia, które padły ofiarą nacisku komunistów i pozostanie wierna służbie Bogu, Polsce i bliźnim". Stanowisko zajęte przez redakcję ŻYCIA jest ponadto zamanifestowane wydrukowaniem fotografii Kamińskiego, oraz obszernego fragmentu z jego głośnej książki „Kamienie na szaniec", wydanej pod pseudonimem Juliusza Góreckiego.

Otóż pragnę tu podać przede wszystkim jedną podstawową informację. Aleksander Kamiński, którego znam od jakichś 35 lat i którego cenię jako człowieka osobiście bezwzględnie uczciwego i ideowego, był, po pierwsze, od dawna zdeklarowanym i kompletnym ateistą, a po wtóre, był również wyraźnym komunistą. Nie był to komunista w rozumieniu stalinowskim. Nie był to agent rosyjski, o czym świadczy choćby jego działalność w A.K. w czasie wojny i jego niełaska w epoce przedgomułkowskiej. Był to komunista narodowy, niewątpliwy polski patriota. Był to jednak wyznawca ideologii, której nazwy ideologii komunistycznej, a już co najmniej komunizującej, odmówić niesposób.

Nie mam nic przeciwko „Kamykowi" osobiście. Wierzę, że przyjdzie kiedyś taka chwila, gdy ten porządny z kościami człowiek nawróci się i umrze pogodzony z Bogiem. Ale uważam, że jako reorganizator i przywódca polskiego harcerstwa jest on postacią wysoce niebezpieczną, o której obliczu społeczeństwo polskie powinno być poinformowane. Co najmniej na emigracji powinno się o tym jego obliczu mówić otwarcie. Także i jego „Kamienie na szaniec" oceniam ujemnie. Brak mi tu miejsca, by swój pogląd w tej sprawie — dyktowany motywami zarówno politycznymi, jak ideowo-moralnymi — uzasadniać szczegółowo.

Zdrowy rozsądek nakazuje cieszyć się z przewrotu Gomułki i z całego szeregu jego pomyślnych konsekwencji. Ale nie należy zapominać, że system Gomułki to jest wciąż dyktatura komunistyczna. Pod pewnymi względami system ten jest niebezpieczniejszy od stalinowskiego: jego bardziej polskie oblicze usypia czujność. Komsomoł odstręczał od siebie wszystkie wartościowsze elementy polskiej młodzieży. Ale harcerstwo gomułkowskie, kierowane przez ludzi w rodzaju Kamińskiego, gotowe jest wychowywać ideowych polskich komunistów.

ŻYCIE pisze: „Niech nikt nie próbuje imputować nam katolicko-zaborczych zamiarów w stosunku do harcerstwa, które organizacją religijną nie jest i wcale być nie musi". Należę do tych, których śmiało można oskarżyć o katolicko-zaborcze zamiary w stosunku do harcerstwa i którzy uważają, że harcerstwo organizacją religijną jest i być musi. Przez wiele lat, jako instruktor harcerski i jako członek władz harcerstwa, walczyłem wraz z niektórymi innymi o to, by harcerstwo przybrało charakter czysto katolicki (z tolerancją i autonomią dla innych wyznań chrześcijańskich) i by dawało swej młodzieży wychowanie na wskroś religijne. Uważam, że zrobiliśmy wielki błąd, dyktowany oportunizmem i brakiem jasnego zrozumienia toczących się procesów przemian. Powinniśmy byli już przed wielu laty zrobić rozłam w ZHP i założyć harcerstwo czysto katolickie, wolne od wpływów indyferentnych czy tym bardziej antyreligijnych, oparte o Kościół i znajdujące się pod jego opieką. Takie, jak organizacja „Scouts de France" we Francji i jak skauting katolicki włoski, rozwiązany w 1928 roku przez Mussoliniego, a po wojnie wznowiony. Harcerstwo ma za zadanie wychowywać młodzież. A wychowanie młodzieży to nie jest tylko wyrobienie w niej osobistej zaradności, czy umiejętności obozowania, ale to jest przede wszystkim formowanie podstaw jej światopoglądu i kształtowanie jej oblicza moralnego. Trzeba sobie powiedzieć jasno, w jakim

duchu chce się tę młodzież wychowywać. Trzeba wybrać jedną z trzech dróg: katolicyzm, indyferentyzm (obojętność) i ateizm. To jest istotna treść i cel, wszystko inne jest tylko formą i środkiem. Nie ma wątpliwości, po stronie którego celu, po stronie której ideologii się opowiadam.

W chaosie ideowym, moralnym, politycznym i społecznym, w jakim się nasz naród znajduje, konieczne są stanowcze decyzje, wyraźne drogi i wytyczne i jasne i konsekwentne myślenie. Zwłaszcza emigracja, nie skrępowana cenzurą i obarczona wskutek tego obowiązkiem wypowiadania w sposób otwarty tego, czego w Kraju wciąż jeszcze, także i pod rządami Gomułki, głośno mówić nie można, winna opowiadać się po stronie rozstrzygnięć jasnych i nie połowicznych.

Nie wiem, co zalecić młodzieży w Kraju, jeśli idzie o praktyczne ustosunkowanie się do wznowionego harcerstwa. Czy je bojkotować jako organizację komunistyczną? Czy wypełnić jego szeregi tak wielką masą, by wyrosła ona tendencjom kierownictwa ponad głowę i narzuciła swoją własną treść? Nie nam emigrantom dawać w tej sprawie rady.

Jedno jest jednak pewne. Jakiekolwiek będzie ustosunkowanie się praktyczne do obecnego krajowego harcerstwa, nie należy łudzić siebie i łudzić ogółu ocenami, które nie odpowiadają rzeczywistości i trzeba dobrze wiedzieć co się święci. Katolicka prasa emigracyjna ma obowiązek mówienia pełnej prawdy o niebezpieczeństwach zagrażających w Polsce Kościołowi i religii. Zagrażających także i ze strony takich ludzi jak autor „Kamieni na szaniec".

Jędrzej Giertych

WYCINEK Z PONUREGO ŻYCIA PISARZA W POLSCE „LUDOWEJ"

Wychodzący w Poznaniu „Tygodnik Zachodni" w nrze 9(17) zamieścił list znanego poety Wojciecha Bąka mówiący o znamiennym do niego stosunku władz w Polsce. Uważając, że sprawa jest wysoce charakterystyczna, umieszczamy list w całości razem z komentarzem redakcyjnym „Tygodnika Zachodniego". RED.

Publikując obok wierszy Wojciecha Bąka, jego list, Kolegium Redakcyjne „Tygodnika Zachodniego" uważa za wskazane złożyć następujące wyjaśnienie:

Nie wnikając w szczegółową analizę przyczyn, jakie złożyły się na tzw. „sprawę Bąka", jesteśmy zdania, iż sprawa ta wymaga — zgodnie zresztą z życzeniem zainteresowanego — ostatecznego i publicznego wyjaśnienia.

Nie chodzi tu bynajmniej o rozdrapywanie „starych wrzodów" ani o tak zwane negliżowanie przeszłości. Chodzi o to, że zarówno moralny aspekt całej sprawy jak i jej społeczny rezonans sprawiają, iż po cichu zaoferowane Bąkowi członkostwo Związku Literatów Polskich niczego tutaj nie wyjaśnia. Ustawiczne spychanie tej sprawy poza nawias opinii społecznej, pomijanie milczeniem żądań i wniosków Wojciecha Bąka o pełne zadośćuczynienie więcej przynosi szkody niż pożytku.

Ponieważ od wielu lat Wojciech Bąk wyraża kategorycznie chęć opuszczenia kraju, uważamy, że i ta sprawa winna być załatwiona zgodnie z życzeniem zainteresowanego, nie ma bowiem — zdaniem naszym, żadnych istotnych względów, dla których należałoby kogokolwiek zmuszać do przebywania w kraju wbrew jego woli.

Kolegium Redakcyjne
„Tygodnika Zachodniego"

Do Redaktora

„Tygodnika Zachodniego" w Poznaniu

Zgodnie z obowiązującymi obyczajami proszę o umieszczenie następującego sprostowania.

W artykule Jerzego Zagórskiego „Między lynczem a sprawiedliwością" („Nowa Kultura" z 16 grudnia 1956 r.) znajduje się zdanie dotyczące mojej osoby, przedstawiające mylnie stan rzeczy.

Jerzy Zagórski myli się twierdząc, że cierpiałem na niedomagania nerwowe. Przyczyną tej omyłki może być fakt, że w istocie zamknięto mnie w Zakładzie dla Nerwowo Chorych w Dziekance w roku 1952. Stało się to, jak mi wiadomo, przy współudziale literatów.

Przyczyna zamknięcia była następująca. Starałem się o uzyskanie paszportu zagranicznego, nie mogąc wytrzymać w kraju z powodu ustawicznych trudności i grożącej mi kompletnej ruiny materialnej. W trakcie tych starań, kiedy byłem bliski otrzymania promesy wizowej od Generalnego Konsulatu Włoskiego w Polsce, zwabiono mnie do Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu, gdzie dwaj nieznani mi wówczas lekarze stwierdziwszy, że w Ameryce podobno zamyka się niedogodnych ludzi w domach obłąkanych, wbrew prawu gwałtem kazali mnie odstawić do Dziekanki pod Gnieznem, na przekór memu protestowi i nie informując mojej rodziny.

W Dziekance trzymano mnie przez kilka tygodni wśród obłąkanych, później zaś kilka miesięcy wśród kokainistów i alkoholików. Co więcej dążono do mego ubezwłasnowolnienia wbrew protestom rodziny mojej, które dyrektor Dziekanki Gallus przyjął od mojej siostry, obiecując je przesłać do Prokuratury. Nie zrobił on tego. W Dziekance nie wolno mi było udać się do adwokata, nie wolno było także zrobić kroku bez towarzysza pielęgniarza.

Na rozprawie sądowej w Sądzie Wojewódzkim w Poznaniu, na którą wezwano mnie pod fałszywym pozorem, że chodzi o nieokreśloną sprawę pieniężną, dowiedziałem się od Prokuratora, że wniosek o moje ubezwłasnowolnienie właściwie podał Związek Literatów, fałszywie i wbrew swej lepszej wiedzy stwierdzając, że rodzina się mną nie interesuje, książki moje zaś butwieją w mym mieszkaniu. Dla wyjaśnienia podaję też, że Związek Literatów w Poznaniu przejął pismo Generalnego Konsulatu Włoskiego zwrócone do mnie, ukrył je i dopiero na wyraźne domaganie się mej siostry poinformowanej skądinąd wydał je. W piśmie tym właśnie zwracano się do mnie, bym przybył do Kansulatu w celu załatwienia sprawy promesy wizowej (chodziło o to, bym się tam nie mógł udać).

Sprawa moja toczyła się kilka miesięcy. Mimo dwukrotnego odrzucenia przez Sąd Wojewódzki wniosku o ubezwłasnowolnienie, trzymano mnie w Dziekance nadal. Wreszcie w kwietniu 1953 roku wypuszczono mnie z niej na podstawie orzeczenia komisji, która stwierdziła, że ubezwłasnowolnienie jest niepotrzebne i wypuściła mnie. Niemniej Prokurator Wojewódzki odwołał się do Sądu Najwyższego.

W nawiasie stwierdzam, że Związek Literatów po wypuszczeniu mnie z Dziekanki, po odrzuceniu wniosku przez Sąd Wojewódzki, po uznaniu przez komisję lekarską, że nie ma potrzeby jakiegokolwiek ubezwłasnowolnienia, skreślił mnie z listy członków. Starano się także o odebranie mi mieszkania. Do tego jednak nie doszło, gdyż prawnie było to niemożliwe.

W Sądzie Najwyższym po stwierdzeniu, że prawo nie ma nic wspólnego z sumieniem i moralnością, w dalszym ciągu wbrew obowiązującemu prawu domagano się ponownego rozpatrzenia sprawy przez Sąd Wojewódzki oraz nasuwano myśl o jeszcze jednym zamknięciu mnie w domu obłąkanych w celu dokonania „naukowej obserwacji".

Życie moje zamieniło się w koszmar. Wzywano mnie ciągle na rozprawy w Sądzie Wojewódzkim, na które oczywiście nie chodziłem, wiedząc, że cała sprawa od początku jest zbrodniczym bezprawiem.

Zwróciłem się z prośbą o ingerencję do Premiera Cyrankiewicza. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Wreszcie po innych listach napisało Biuro Skarg i Zażaleń przy KC PZPR, że „gabinet Premiera zajął się moją sprawą od października ub. r.". To nie przeszkadzało bynajmniej Prokuratorowi Wojewódzkiemu w Poznaniu ścigać mnie dalej. Wobec tego zwróciłem się do Prokuratora Generalnego, Kalinowskiego. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. To samo dotyczy Prokuratora Generalnego Rybickiego. Minister Kuryluk został o sprawie przeze mnie poinformowany. I z jego strony nie doczekałem się żadnej odpowiedzi.

Jest rzeczą oczywistą, że wymieniona sprawa stanowi tylko wycinek w mym ponurym życiu. Prześladowania nie ograniczały się bynajmniej do niej. Nie chciałbym jednak wykraczać poza ściśle zakreślony sobie temat.

Wreszcie zakończyła się moja sprawa wycofaniem przez Prokuratora Wojewódzkiego wniosku o ubezwłasnowolnienie (pismo z dn. 30 lipca 1956, III 1p, 175/52) oraz umorzeniem. Dnia 6 listopada 1956 powiadomił mnie Związek Literatów, Zarząd Główny pismem L. dz. DP/556/56, że reaktywowano mnie w prawach członkowskich. Zrezygnowałem z praw członkowskich uważając, że Związek Literatów (nie wszyscy członkowie oczywiście) używał wyraźnie kryminalnych metod. Jeden niezręczny krok z mojej strony wystarczyłby, by się sprawa tragicznie zakończyła. Nie potrzeba dodawać, że świadome działanie w celu ubezwłasnowolnienia kogokolwiek jest próbą dokonania mordu cywilnego, w danych warunkach mogło się zaś skończyć jeszcze gorzej. Fakt takiej próby literatów wobec pisarza jest zresztą unikatem w historii.

Uważam, że jest obowiązkiem Redakcji „Nowej Kultury" wydrukowanie tych wyjaśnień, jeżeli gromko głoszone hasła o prawdzie i moralności, które mają obecnie w Związku i wśród ogółu pisarzy zapanować, nie są tylko jeszcze jednym frazesem pozbawionym wszelkiego pokrycia i jeszcze jedną próbą wprowadzenia w błąd czytelników.

Swoją drogą nie uważam sprawy za zakończoną i oczekuję chwili, kiedy nareszcie Prokurator Generalny znajdzie czas na jej prawne załatwienie. Nie sądzę, by podobna sprawa mogła się milczeniem ze strony władz zakończyć. Takie załatwienie byłoby zaprzeczeniem wszelkiej praworządności, domagającej się wyciągnięcia konsekwencji wobec przestępstw.

Z szacunkiem

(Wojciech Bąk)

Poznań, Noskowskiego 24, m. 4.
15. XII. 1956 r.

P.S. Jestem oczywiście za tezą Zagórskiego, że nie należy lynchu stosować. Uważam jednak, że tylko rzeczowe, obiektywne, prawne załatwienie spraw gwarantuje niemożliwość odrodzenia się lynchu w jakiejkolwiek formie i z czyjejkolwiek strony. Liczyć na dobrą wolę jest bardzo zawodnym środkiem usunięcia gwałtu i wszelkich form lynchu. Z tego względu kładłem i kładę taki nacisk na prawne załatwienie, będąc wrogiem zamieniania życia społecznego w chaos niekończących się gwałtów.

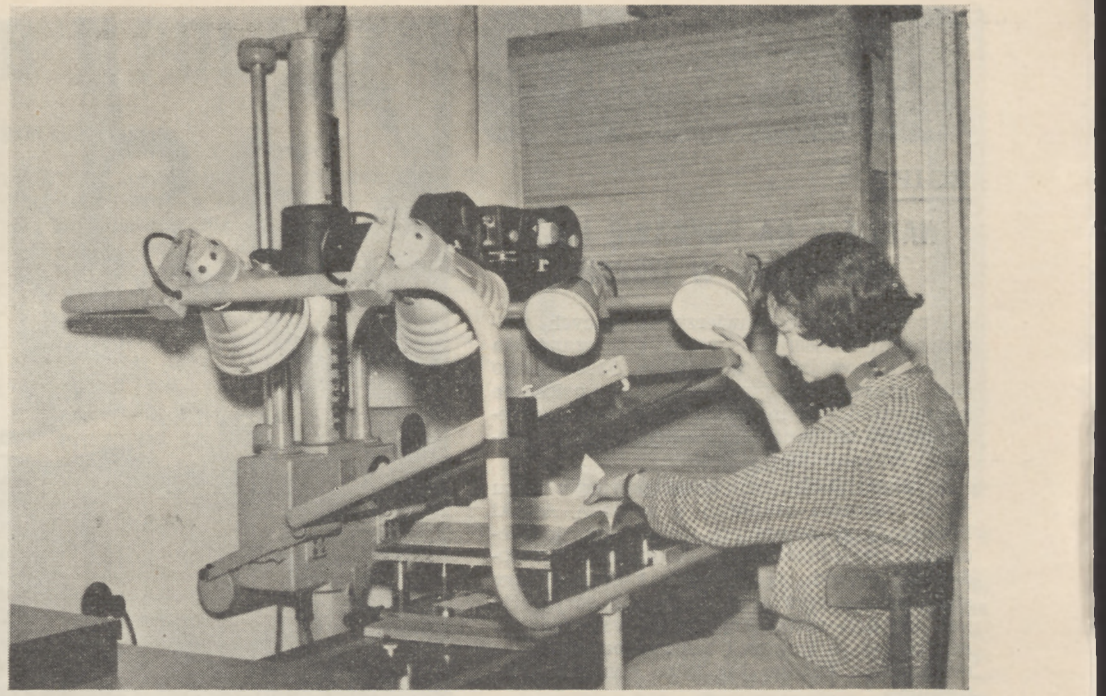
Wojciech Bąk

POLSKA W OCZACH CUDZOZIEMCA

Korespondent warszawski dziennika zachodnio-niemieckiego „Die Welt", którego uwagi o powstawaniu nowej warstwy społecznej w Polsce niedawno cytowaliśmy, obecnie w dwóch artykułach opisuje swe wrażenia z wycieczki do Sejn i Puszczy Białowieskiej, jaką niedawno odbył w towarzystwie paru dziennikarzy Polaków. Z wrażeń tych wyziera znowu bezmiar spustoszeń, jakich dokonała we wszystkich częściach Polski gospodarka komunistyczna poprzedniego okresu, przy czym, jak wynika z podanych faktów, poprawa jest, jak dotąd, tylko bardzo częściowa.

Jednym z nielicznych bogactw tamtejszych, zasadniczo ubogich, okolic są ryby jezior Suwalszczyzny, wśród których najcenniejszą jest węgorz. Cóż z tego, kiedy wysokość wynagrodzeń w państwowych przedsiębiorstwach rybnych uzależniona jest od ilościowego, a nie jakościowego plonu połowu. W rezultacie nie poławia się w ogóle węgorza, choć pojawia się on tam bardzo licznie. Wszystkie złowione ryby dostarczane są do dóbr państwowych (po cenie 50 groszy za kilogram) jako żer dla bydła. W mieście rzadko można kupić ryby — i wówczas płaci się 5 złotych za kilogram.

Zniszczenie drobnych przedsiębiorstw prywatnych. Do zakupu jagód leśnych i grzybów upoważnione jest tylko przedsiębiorstwo państwowe. Utrzymuje ono swój monopol i, jak dotąd, przeszkodziło powstaniu spółdzielni mającej służyć temu samemu celowi, choć samo może skupywać tylko część zebranych jagód i grzybów.



Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu rozporządza aparatem do zdjęć mikrofilmowych. Daje to możność zaoszczędzenia starych cennych tekstów, gdyż uczeni zamiast oryginału otrzymują dokładne fotografie. Ma to jeszcze ten dodatkowy pożytek, że w razie wypadku w bibliotece — mikrofilmy, które przechowywane są gdzie indziej — chronią tekst przed zniszczeniem.

W powiecie sejneńskim, który był dawniej ośrodkiem uprawy lnu, obecnie nie uprawia się go wcale, gdyż prywatna fabrykacja oleju, która dostarczała chłopom produkty uboczne lnu, olej lniany i makowce, parę lat temu musiała ulec zamknięciu! Obecnie uprawa lnu chłopom się nie opłaca.

Przykłady tego rodzaju można by gromadzić z każdego powiatu. W Puszczy Białowieskiej, której połowa leży po stronie polskiej, gniją tysiące metrów sześciennych drzewa drugiej klasy, jednak wartościowego, ponieważ brakuje zarówno sił roboczych jak i środków transportu, by je przewozić do fabryki terpentyny, odległej tylko o 20 km. Przed wojną byli ludzie, którzy posiadali miniaturową fabryczkę, dającą się przewozić z miejsca na miejsce; zbierali oni w lesie drzewo i wydobywali na miejscu terpentynę. Zawód ten już nie istnieje, ponieważ komisja planowania o nim w ogóle nie pomyślała.

„Socjalizm" w praktyce na wsi. Właśnie na prowincji — zdaniem korespondenta — odnosi się wrażenie — że tzw. socjalizm lat ubiegłych nie wytworzył w ludziach świadomości społecznej, lecz raczej pragnienie jak najdalszego trzymania się od rzeczy wspólnych i polegania na samym sobie.

Dotyczy to przede wszystkim rolnictwa. Wydano ogromne sumy, by wykazać wyższość socjalistycznej metody uprawy ziemi, osiągając jednak wprost odwrotne wyniki. W małej wsi Proniewicach korespondent i jego towarzysze rozmawiali z członkiem dawnego kierownictwa kołchozu. Wkrótce po założeniu tego kołchozu spośród 70 jego członków 40 przeniosło się do miasta i zostało robotnikami. Pozostałych 30 tylko ułamek swego czasu poświęcało na uprawę roli. Część gruntów w ogóle nie była uprawiana — i tak samo zbierano tylko część żniwa. Długi rosły i wreszcie w grudniu 1956 roku całe przedsiębiorstwo z wielkim hałasem rozwiązało się. Nowe piękne budynki, wzniesione dla kolektywu, stoją dziś pustką.

Wszędzie wymuszona współpraca doprowadziła do sporów między członkami i do wzajemnego podrażnienia nerwowego — zapanowało pragnienie powrotu do samodzielności. Ostry charakter przybrało to w byłych obszarach niemieckich, gdzie „sektor socjalistyczny" obejmował prawie 65% ziemi uprawnej, to jest blisko trzy razy tyle niż wynosi średnia dla całego kraju. W powiecie Ełk (w dawnych Prusach Wschodnich) istniało do niedawna jeszcze 68 rolniczych „spółdzielni produkcyjnych" — dzisiaj została tylko jedna.

„Z elementarną siłą — konkluduje korespondent — chłopi uwolnili się od nacisku — przepadły przy tym milionowe wartości, ale w miejsce dawnego letargu i głuchego oporu wystąpiła chęć, by pracować dla samego siebie i przebić się przez przeszkody."

Chłopi znowu kupują konie. Drugi (a raczej w kolejności pierwszy) artykuł Zimmerera zawiera również wiele intresujących obserwacji z Białostocczyzny i pogranicza Mazur. W Augustowie korespondent widział targ na konie. Z całej okolicy przybyły setki chłopów, by przyjrzeć się wielkiej masie dobrze odżywionych, choć źle pielęgnowanych koni, które tutaj ludzie prywatni sprzedawali ludziom prywatnym. Targi takie są obecnie bez porównania większe, niż w latach poprzednich. Chłop wówczas żył w ciągłym strachu, że jego z trudem nabyta własność pewnego dnia zagarnięta zostanie przez kolektyw.

Najlepszą klientelę sklepów jubilerskich w dużych miastach stanowiły nie żony „bonzów" partyjnych, ale przede wszystkim chłopi, którzy pragnęli świnię sprzedaną na wolnym rynku, zamienić na złoto, gdyż można je było zagrzebać i ukryć. Ale przez to gospodarstwo chłopskie nic nie zyskiwało. Obecnie znów się opłaca kupić konia, nabyć kawałek ziemi, sprawić sobie nowy pług.

W Sejnach korespondent zauważył, że ludzie znów uruchamiają swoje małe warsztaty, które poprzednio, na rozkaz z góry, zostały opuszczone, czy rozebrane. W samym tylko powiecie Ełk udzielono w ostatnich miesiącah 68 koncesji na prywatne przedsiębiorstwa handlowe oraz 78 koncesji na warsztaty rzemieślnicze i zakłady przemysłowe (w tym 3 większe fabryki).

Informacje p. Zimmerera należy uzupełnić o tyle, że niestety ilość udzielanych koncesji nie stoi w Polsce w żadnym stosunku do ilości wnoszonych podań i cały proces jest niezmiernie powolny, niewątpliwie z powodu hamowania go przez czynniki komunistyczne w terenie, choć dobrodziejstwa gospodarcze wynikające z odżycia inicjatywy prywatnej są widoczne dla każdego. Tak np. w Krakowie na przeszło 1000 wniesionych podań o pozwolenia na otwarcie prywatnych przedsiębiorstw rzemieślniczych i handlu detalicznego, do tej pory udzielono zaledwie 100 koncesji.

Zimmerer w konkluzji tego artykułu stwierdza, że choć intelektualiści i publicyści komunistyczni, którzy poparli tzw. rewolucję październikową, skarżą się obecnie na praktyki cenzury i na podnoszenie głowy przez elementy „konserwatywne", tj. stalinowskie, Gomułka trwa konsekwentnie przy swym programie nowej polityki rolnej, popierania drobnej inicjatywy prywatnej, porozumienia z Kościołem i utrzymywania takiego zakresu niezależności narodowej, jaki potrzebny jest do przeprowadzenia tego programu.

EGIPT

NADZIEJE NA POPRAWĘ LOSU KATOLIKÓW W EGIPCIE

Wręczenie listów uwierzytelniających prezydentowi Nasserowi przez przedstawiciela Stolicy Apostolskiej w Egipcie, Mons. Sivio Oddi pozwala mieć nadzieję, że położenie katolicyzmu w tym kraju, po ostatnim okresie niepokoju i napięcia, ulegnie jednak pewnej przynajmniej poprawie.

Wrzenie, jakie panuje od pewnego czasu wśród ludności arabskiej w krajach Afryki Północnej, pozostających dotąd, lub do niedawna pod panowaniem francuskim, spowodowało wśród tamtejszych Europejczyków silny pęd ku reemigracji. Pęd ten oczywiście jest słabszy wśród kolonistów, osiadłych w Afryce już w drugim i trzecim pokoleniu i mających z Europą już tylko kontakty kulturalne.

W Egipcie groźby rządu, że wydali wszystkich Francuzów i Anglików, źle wróżyły przyszłości katolicyzmu obrządku łacińskiego w tym kraju. Właśnie katolicy francuscy w Egipcie utrzymywali szkolnictwo, wysoko do tej pory cenione w sferach wykształconych Egiptu i z pewnością w chwili obecnej trudne do zastąpienia innymi szkołami przez rząd egipski — szkolnictwo, które rezygnowało z jednostronnego szerzenia kultury francuskiej i przestawiało się na włączenie się w kulturę niepodległego Egiptu. Przemiana ta wymagała silnego poparcia ze strony Watykanu, trudno ją zresztą było sabotować, jeżeli pragnęło się ratować szkoły, w których na podstawie zarządzenia rządu nauka udzielana jest w języku arabskim, choć nie wyłącznie w nim tylko.

Kardynał Tisserant już w roku 1951 podczas swych odwiedzin w Egipcie podkreślił z naciskiem wobec misjonarzy konieczność znajomości języka arabskiego. W cztery lata potem internuncjusz Msgr. de Jonghe okólnikiem, skierowanym do wszystkich organizacji katolickich w kraju, oświadczył kategorycznie, że wszyscy, którzy nie posiadają wystarczającej znajomości arabskiego, muszą się zdecydować na bliski powrót do swych krajów ojczystych. Wskazał przy tym na obowiązujące wytyczne Ojca św. w sprawie dostosowywania się. Mimo tej daleko idącej gotowości czynników kościelnych do uwzględnienia wszelkich postulatów w dziedzinie językowej, można się obawiać, że rząd zechce się pozbyć szkół zagranicznych, gdy tylko będzie miał odpowiednio wyszkolone siły egipskie.

Szkodliwe skutki konfliktu sueskiego. Można sobie zresztą wyobrazić, jak bardzo, choć pośrednio, francuska akcja wojskowa nad Kanałem Sueskim zaszkodziła pozycji i działalności misji francuskich. Charakterystyczne jest, że przedstawiciele czterech milionów chrześcijan w Egipcie wypowiedzieli się na ogół jednomyślnie za stanowiskiem rządu Nassera w sprawie Suezu. Znalazło to najsilniejszy wyraz na masowym zgromadzeniu, zwołanym przez koptów, na którym przemawiali, po jednym, przedstawiciele Kościoła schizmatycko-koptyjskiego, Kościoła katolickiego i Islamu. Ze strony katolickiej zabrał głos znany jezuita egipski, o. Ayrout; oświadczył on, że czas rozproszyć atmosferę nieufności i niechęci, jaka panowała dotąd między chrześcijańskimi a muzułmańskimi obywatelami Egiptu.



Nowomianowany internuncjusz Stolicy Apostolskiej w Egipcie mons. Silvio Oddi wręcza listy uwierzytelniające prezydentowi Nasserowi.

Nie ma obecnie poważniejszych konfliktów. W rezultacie tej postawy, w chwili obecnej nie ma poważniejszych zatargów między rządem a Kościołem. Także w sprawie nauczania dzieci mahometańskich islamu w szkołach katolickich, doszło dzięki wstawiennictwu specjalnego delegata z Rzymu, do kompromisu, wedle którego w obrębie tych szkół urządzone będą osobne lokale dla tej nauki.

Ale mimo wszystkich gestów pojednania katolicy, jako jednostki w życiu społecznym Egiptu, toczyć muszą ciężką walkę o swobodę religijną dla siebie. Tendencji laicyzujących — jeśli wolno tak się wyrazić — rząd egipski nie ma. Z jednej strony wyciąga rękę, by podkreślić istnienie gwarantowanej przez konstytucję wolności religijnej w tym państwie muzułmańskim, z drugiej strony jednak wykazuje, czy to jawnie czy ukrycie, tendencje „islamizowania". Ta zasadnicza sprzeczność występuje ciągle w życiu codziennym. Dlatego chrześcijaństwo w Egipcie pozostaje w stanie ciągłego niebezpieczeństwa. Dotyczy to zwłaszcza Kościoła obrządku łacińskiego: istnienie jego licznych szkół, instytutów i innych agend jest praktycznie zagrożone choćby przez trwający już od lat stały odpływ Europejczyków.

LIBIA

W LIBII DOBRE POŁOŻENIE

W Libii katolikom powodzi się dobrze. W sąsiedniej Libii, która jest niepodległym państwem od roku 1952 i której konstytucja stwierdza wprawdzie, że islam jest religią państwową, ale w art. 21 przyznaje wolność wszystkim wyznaniom religijnym, żyje nieduża (ok. 46.000 osób) grupa katolików, prawie wyłącznie Włochów, których duszpasterzami są księża włoscy. Osiedleni są przeważnie w Trypolitanii i nie są w żadnym razie traktowani jak uciążliwi cudzoziemcy — przeciwnie, stanowią kręgosłup gospodarczy tej części Libii. Dzięki mądrej włoskiej polityce współpracy ze światem arabskim, jaką Włosi podjęli spokojnie i po cichu po wojnie, ta bardzo lojalna grupa Europejczyków jest bodaj jedyną w Afryce Północnej, która może z pewnym spokojem patrzyć w przyszłość. Wszystkie manifestacje życia katolickiego cieszą się przyjazną ochroną ze strony policji, a pracownicy katolicy korzystają z pozwolenia, by w niedzielę, która w Libii jest dniem pracy, udawać się o godzinie 11 rano na Mszę św.

W obecnej jednak zaognionej sytuacji na Bliskim Wschodzie trudno na pewno powiedzieć, co przyszłość przyniesie. Libia jest od roku 1954 członkiem Ligi Arabskiej. Egipt, który jej nie może pomagać finansowo, dostarcza jej za to techników, funkcjonariuszy, doradców dyplomatycznych i profesorów. Sowiety otworzyły w roku 1956 poselstwo w Trypolisie, które zatrudnia aż 500 osób. Stany Zjednoczone utrzymują tu wielką bazę lotniczą i w zamian za to płacą rocznie miliony dolarów jako „pomoc w rozbudowie". Brytyjczycy uzyskali w roku 1953 na 20 lat prawo urządzania w Libii baz wojskowych i trzymania w nich wojska (w chwili obecnej stoi tam 1 dywizja), za co płacą rocznie 3.7 milionów funtów. Poza tym Francuzi posiadają prawo współkorzystania z trzech lotnisk w Fezzanie.

Na te uprawnienia mocarstw zachodnich nacjonaliści arabscy patrzą krzywym okiem, a Sowiety, jak zwykle, próbują dolewać oliwy do ognia. I w Libii więc jest sporo materiału palnego.

EL MOGHREB I POLACY

napisał STANISŁAW GROCHOLSKI

Pamięci dzielnej Polki, przyjaciółki Arabów — Krystyny Tyszkiewicz.

Wstęp bardzo osobisty. Uwaga nasza musi być dziś skierowana przede wszystkim na wydarzenia w Kraju. Jeżeli chodzi o nasz czas i siły — sprawy krajowe mają pierwszeństwo. Te dwa zdania są wyjaśnieniem dla przyjaciół, którzy mieli prawo oczekiwać, że wcześniej zanotuję wrażenia z niezapomnianej wyprawy do niepodległego Maroka. Wśród nich na pierwszym miejscu znajdują się: Andrzej Grocholski, dzięki któremu do Maroka dojechałem i Leon Śliwiński, który mi pokazał polsko-marokańskie stosunki oraz polski i swój imponujący dorobek. Na ich ręce dziękuję tym wszystkim, którzy mi pomogli wykorzystać pobyt. A wszyscy na pewno się zgodzą, by moje sprawozdanie, cokolwiek jest ono warte, poświęcić Polce, której nagła śmierć zrobiła wyrwę w zespole CMA, tam, gdzie w „bledzie" manganowym, buduje się wartościowa placówka polsko-marokańskiej pracy i przyjaźni.

DO AFRYKI...

Kogo interesuje polityka, ten musi chcieć dotknąć się nowej rzeczywistości, która wyrasta na kontynencie afrykańskim, a przede wszystkim w jego północno-zachodnim kącie. Stare kraje przeżywają powtórną młodość; byli „buntownicy" i więźniowie obejmują rządy; narody trzymane w wiekowym uśpieniu przez rodzimy wsteczny feudalizm, a potem cywilizowane w systemie kolonialnym, — dochodzą do głosu; stara, słońcem palona ziemia rodzi nowe bogactwa, dzięki nowoczesnym środkom eksploatacji.

Kto nie wytknął nosa z Europy, nie wie co to dreszcz, który wstrząsa, gdy za cieśniną gibraltarską ukazują się pagórki Afryki; inne wymiary, szersze horyzonty...

Hiszpania to dobra odskocznia na Afrykę. Polak, przez Hiszpanię jadący do arabskiej Afryki, myśli o dawnych walkach i dzisiejszej przyjaźni. Tak jak my walczyliśmy, a potem kochaliśmy się z Turkami, tak Hiszpanie i Marokańczycy potrafili przekuć zaciętość bojów na przyjaźń. — A właśnie przyjaźń jest koniecznym fundamentem euro-afrykańskich koncepcji, korzystnych dla obu kontynentów. Kłopoty naftowe, które sprowadziła awantura sueska, jeszcze wyraźniej wykazały, że tylko przez przyjaźń, uczciwe poszanowanie praw i wzajemnego interesu, traktowanie równych jak równych, prowadzi droga do korzystania przez Europę z nafty, którą Allah obdarzył kraje arabskie, czy nad Zatoką Perską, czy na Saharze.

Każdy etap podróży po przekroczeniu cieśnin herkulesowych w cieniu gibraltarskiej skały, pokazuje zmiany. Nie ma już międzynarodowego Tangieru, nie ma hiszpańskiego Maroka, jak dalej nie ma Protektoratu, a na miejscu Port Lyautey jest Khenitra...

Wizę marokańską dostałem bez zwłoki w Tangierze, we wspaniałym budynku rządowym — „Amalat". Konsul Serghini, młody niestrudzony urzędnik, powiedział, że przyjechał z instrukcją, by „dobrze usposabiać przyjaznych cudzoziemców przybywających do niepodległego Maroka..." Polacy są uważani za „przyjaznych cudzoziemców". Ta pierwsza rozmowa zapowiada, że nie zabraknie argumentów dla odparcia oskarżeń rzucanych tak lekko w Europie przeciw narodowi marokańskiemu. Straszono w Londynie, a przede wszystkim w Paryżu. Marokańczycy mają prawo protestować przeciw sądzeniu dążeń całego narodu na podstawie ekscesów awantur, czy nawet tragicznych starć, nieodłącznych od rewolucyjnych walk o wolność.

POLSKIM SZLAKIEM

Jak wszędzie na kuli ziemskiej w połowie XX wieku, można jechać po Afryce „rzemiennym dyszlem" (czy raczej wałem kardanowym) od Polaków do Polaków.

W Tangierze — Emilowie Baworowscy: polski dom, polskie dzieci, polska gościnność; interesy i stosunki „międzynarodowe". Państwo Michalakowie: z niczego, własną pracą i przemysłem zbudowana placówka wytwórcza i handlowa wyrobów plastykowych; kolorowy sklep na bulwarze Mohameda V.

W pół drogi do Rabatu, na rolniczej równinie, najgościnniejszy „dwór" Antoniostwa Choryńskich w Si Allal Tazi, gdzie gospodarze staropolskim zwyczajem gotowi... koła od samochodu odkręcać. Wzorowe gospodarstwo na setkach hektarów jest przykładem dla sąsiadów.

W Casablance (po arabsku Dar el Beida — biały dom), przyjezdny Polak wędruje od polskiego domu do polskiego domu, je i pije u stołów miłych polskich pań domu, orientuje się w stosunkach miejscowych, a równocześnie podziwia dowody polskiej przedsiębiorczości, inwencji i pracy. — Leon Śliwiński: polski konsul, CMA (o tym później), rosnąca działalność gospodarcza, skuteczna obrona polskich interesów, organizowanie polsko - marokańskiej

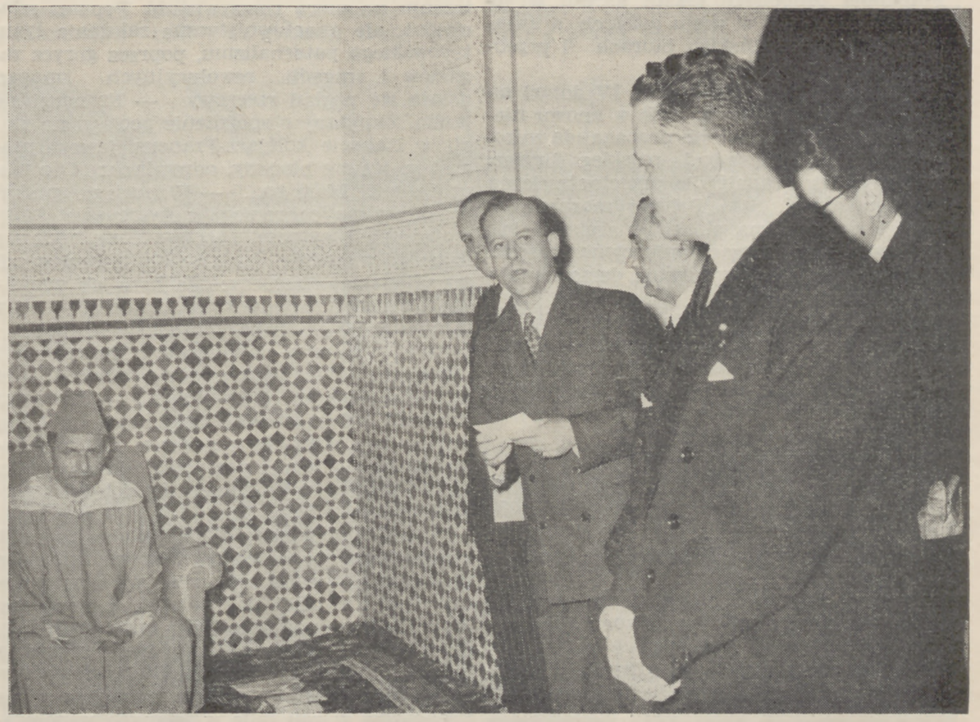


Adres Polaków, złożony J.K.M. Mohamedowi V

współpracy; pełna polskich pamiątek willa, gdzie przyjmuje pani Leonowa Śliwińska (sen.). — Gościnny dom Julianostwa Prądzyńskich. Rozwija się biuro handlowe, przybysz korzysta z mądrych rad mecenasa. — Gościnny dom Stanisławostwa Korytkowskich. Biuro architektoniczne inż. Korytkowskiego postawiło wiele nowoczesnych gmachów i urządziło wnętrz; projekty czekają na powrót „prosperity". — U Dominików Reyów słucha się opowieści z okresu ich pionierskiego bytowania w Maroku; dziś Dominik Rey jest w CMA.

Dyrektorem Marokańskiego Phillipsa jest Kazimierz Juraszyński, który po powstaniu warszawskim Kraj opuścił, a obecnie matkę z Kraju sprowadził. Warto, by młodzi Polacy interesowali się światowym „imperium" Phillipsa, w 54 krajach, w którym już teraz sporo Polaków pracuje.

Polska ręka w filmie — to Śliwiński i Michał Kłobukowski. — Polonia casablancka spotyka się u „Franbolego", w „warszawskiej" kawiarni Franciszka Bolesława Kiełbasińskie-



J. K. M. Mohamed V przyjmuje delegację polską

(Studio F. Puttecher)

go... — Wymienić mogę tylko niektóre domy i placówki.

Wszędzie żywe zainteresowanie sprawami polskimi, polskie książki i pisma, emigracyjne i krajowe; żywa pamięć o Kraju; świadomość, że polska przedsiębiorczość w Maroku buduje oparcie dla rozwoju polskich stosunków politycznych, gospodarczych i kulturalnych, nie tylko emigracyjnych...

Dokoła naszego konsulatu skupia się polskie życie społeczne: SPK — z prezesem adm. Unrugiem, wiceprezesem S. Korytkowskim, sekretarzem M. Kłobukowskim; „Czytelnia" z prezesem J. Jankowiakiem; niemowlęcy jeszcze Skarb Narodowy pod opieką młodocianej pary Horacostwa Unrugów...

Wolni Polacy nie siedzą cicho, są „obecni". Wiedzą o nich ich marokańscy przyjaciele, marokańskie sfery gospodarcze i związki zawodowe, urzędy i ministerstwa, Katedra i dyplomatyczne przedstawicielstwa. Wie o nich J.K.M. Mohamed V; w uroczystym adresie złożonym Sułtanowi w styczniu 1956 roku przez delegację polską z konsulem Śliwińskim na czele, Polacy pisali:

„...W sercach Polaków, przykład Waszej Królewskiej Mości umacnia nadzieję, że wierność Sprawie i ofiary poniesione w jej służbie nie idą nigdy na marne. Bóg wybierze chwilę, by wynagrodzić. „Fortuna variabilis, Deus mirabilis" — potwierdza się w historii każdego narodu, ale zwłaszcza Polski i Maroka...

„W kraju W. K. Mości liczni polscy wygnańcy żyją i pracują ramię w ramię z Marokańczykami i Francuzami dla rozwoju Maroka, jako inżynierowie i architekci, lekarze, prawnicy, rzemieślnicy, górnicy... Są oni wdzięczni Francji, że dzięki niej mogli przybyć i osiedlić się w tym kraju.

„Dziś, gdy Maroko osiąga swoją niepodległość, Polacy zwracają się o życzliwe poparcie W. K. Mości. Pragną służyć sprawie Maroka. Liczni uchodźcy polscy w wolnym świecie chętnie by tu przybyli...

„Wygnańcy polscy proszą W. K. Mość, ażeby ich Sprawę narodową traktować jako coś zupełnie odrębnego od spraw reżymu, narzuconego obecnie Polsce..."

Fotokopia ozdobnego tekstu adresu w języku arabskim wisi w wielu polskich, a zwłaszcza polsko-marokańskich biurach i przedsiębiorstwach.

Ambasador króla Władysława IV dotarł na dwór Maroka w XVII w. Dziś w znowu niepodległym Maroku polska propaganda wykorzystuje umiejętnie tradycje polskiego braterstwa ludów i tolerancji, dla przeciwstawiania się komunizmowi. Stać Polonię marokańską na akcję prasową, na ulotki po arabsku, jak ta rozdawana na targach międzynarodowych w Casablance, która wymownie demaskowała kolonializm sowiecki.

W całym Maroku jest około 500 Polaków, po miastach, w przemyśle, górnictwie i na roli. Gdy kraj przejdzie okres ekonomicznych trudności, będzie mogło ich tam być więcej i będą mile widziani.

NIEPODLEGŁE MAROKO

550.000 kilometrów kwadratowych, 10.750.000 ludności; 47% w wieku do lat 20. Bogactwa ziemi, pod warunkiem nawodnienia, i w ziemi, pod warunkiem pomnożenia źródeł energetycznych. Wyjątkowe położenie geopolityczne: Maroko to międzykontynentalny węzłowy punkt lotniczy i morski.

Nowe pędy szczepione na starym drzewie w cieniu zabytków świetnej przeszłości; kolorowe życie tubylcze, gdzie stare miesza się z nowym, zazębia się ze współczesnym tętnem rozwoju cywilizacyjnego w oprawie nowczesnych miast, przemysłowych konstrukcji i sieci dróg, które są pomnikiem francuskiej i marokańskiej pracy ostatniego półwiecza.

Wszędzie świadectwa niepodległości, godła państwowe, flagi, wizerunki sułtana i rodziny królewskiej, przywódców Istiklalu i rządu; prasa arabska („El Amal" — „Sztandar") obok marokańskiej po francusku („Istiqlal"); doskonałe ścienne gazety w domach i na ulicach. Nieustanna entuzjastyczna świadomość, że są nareszcie u siebie.

Po załamaniu się próby narzucenia narodowi nieszczęsnego Ben Arafy i powrocie z wygnania sułtana Mohameda V, przed którym ukorzył się ostatni z wielkich feudałów, El Glaui, pasza Marakesz, otworzył się obecny rozdział historii Maroka.

Młoda demokracja opiera się na przymierzu między królem oraz rządzącą partią Istiklal i kierowanymi przez partię związkami zawodowymi. Parlament powstaje, na razie mianowany przez króla. Opozycyjna „PDI" (Demokratyczna Partia Niepodległości) jest dopuszczona. Islam przenika życie kraju, dając podstawę pod oryginalną koncepcję przywódcy Istiklalu, Allal El Fassi — „socjalizmu na zasadach Islamu". Troska o realizację sprawiedliwości społecznej charakteryzuje stosunek Sułtana do związków społecznych i daje monarsze zaufanie świata pracy.

Z walk o niepodległość wyrosła młoda inteligencja skromnego pochodzenia, związana z masami społeczeństwa. Ona dostarcza ministrów, urzędników, techników. Ciągle ich jeszcze mało i olbrzymie zadanie spoczywa na oświacie.

Sytuacja ekonomiczna jest przejściowo trudna, bo braknie kapitału i specjalistów, a oczekiwania ludności są duże. Maroko potrzebuje pomocy z zagranicy, pomocy Francji i Ameryki, na którą liczy. Pomoc pieniężną, kredytową, surowcową, towarową i specjalistów przyjmie z wdzięcznością, ale na warunkach pełnej niezależności politycznej i ekonomicznej.

Polak, jak my wszyscy, przyjaciel Francji „wiecznej", znający jej „oblicze wolnościowe", ma początkowo trudności z uniezależnieniem się od „francuskich okularów" w patrzeniu na nową rzeczywistość. Poprzez szlachetne, ale anachronistyczne założenia lyauteyowskiego paternalizmu, poprzez gorycz zawodów i tragedii rewolucyjnych zmagań ustala się pogląd rzeczowy. — Francuzi się łamią. Zapytany o spóźnienie pociągu na stacji w Rabacie kolejarz-Francuz, jeszcze pracujący, jeszcze płacony, odpowiada: „Oto niepodległość! Mam to..." — W pociągu spotkany oficer-spadochroniarz z francuskiej bazy, stojący na korytarzu, patrzy z... niechęcią na śpiącego wygodnie w przedziale oficera armii szeryfiańskiej i mruczy: „Ja bym ich wszystkich wyrżnął..." Odwet za Meknes? — Ale mechanik na stacji benzynowej w Mazaganie, rodzina którego handlowała z Marokiem i mieszkała tam, jeszcze przed ekspedycjami Drude'a, Amade'a i Lyautey'a — zamierza pozostać. Odpowiada twierdząco na moją uwagę, że „okupacja wojskowa" Maroka była anachronizmem i pomyłką; dodaje tylko, że bez francuskiej okupacji drogi byłyby gorsze w Maroku...

W Casablance wizyta w klubie „Amal", który służyć ma zbliżeniu Marokańczyków z Francuzami i cudzoziemcami, gdzie wprowadził mnie Śliwiński, daje kontakt z nową rzeczywistością. Spotkanie ludzi takich jak Lorrain Cruze, bankowiec, odważny protagonista szczerego, definitywnego uznania niepodległości marokańskiej a zarazem pozostania Francuzów w roli mile widzianych współpracowników, budzi nadzieję, że coś pozytywnego pozostanie — poza drogami, tamami i miastami — z półwiekowego współobcowania między dwoma narodami. Naprzeciw tym tendencjom wychodzi J. K. M. Mohamed V w mądrym przemówieniu do francuskich gości (26. 12.): „...Chcemy pielęgnować przyjaźń, która nas wiąże z Francją. Francuzi w Maroku są tu czymś innym niż cudzoziemcami. Odegrali w tym kraju poważną rolę i powinni uważać Maroko jako swoją drugą ojczyznę. Cel, który chcemy osiągnąć, to braterskie współżycie różnorakich grup ludności zaludniających Moghreb, a zwłaszcza Francuzów i Marokańczyków. Są Francuzi — mniejszość — którzy nie mogą się dostosować do nowej sytuacji. Niech wyjadą bez hałasu, bo obecność ich bardziej szkodzi ich krajowi i ich rodakom, niż Maroku i jego mieszkańcom..."

RABAT

Casablanca jest „Nowym Jorkiem" Maroka; „Waszyngtonem" jest Rabat (Ribat El Fath — klasztor zwycięstwa).

Zasadnicze dla mnie znaczenie miała półtoragodzinna rozmowa z ministrem gospodarki narodowej, J. E. Abderrahim Buabid, jeden z czołowych członków ekipy niepodległościowej, pierwszy ambasador Maroka w Paryżu, to typ polityka, który łączy dynamizm rewolucjonisty z trzeźwością realisty.

Zaczynam od szczerego wyznania, jaki entuzjazm budzi ich kolosalne zadanie urządzania wolnej ojczyzny. Stwierdzam, że — jako Polak — jestem dumny, że przyjazne stosunki istniały od początku między Polakami i Arabami i cieszę się z życzliwego ustosunkowania się władz marokańskich do polskich uchodźców. Podkreślam nasze polskie zainteresowanie się zjawiskiem rosnącej liczby wolnych narodów Afryki i Azji, które mogą tak pozytywną rolę odegrać w politycznym i ekonomicznym „wyzwalaniu" świata i w utrwalaniu pokoju. Wyrażam nadzieję, że Polacy, jako „przyjaciele wolności" i synowie narodu, który nigdy nie uprawiał „kolonializmu", choć padał jego ofiarą, mogą specjalnie wydatnie pracować w takich krajach jak Maroko. — Minister zna naszego konsula, pamięta przyjęcie delegacji polskiej przez sułtana i jej serdeczne akcenty. Podkreśla opłacalność polskiego stanowiska „uznania człowieka za człowieka".



Leon Śliwiński, konsul honorowy R. P.



Biura „Baty" w Casablance. — arch. S. Korytkowski

Punkty rozmowy i wyjaśnień ministra, które streszczam, dotyczą spraw, które budzą największe zainteresowanie za granicą; prostują one krzywdzące Maroko nieścisłości.

— Pierwszą troską odrodzonego państwa jest rozwój ekonomiczny. Trzeba przejść przez okres trudności i zaciskania pasa. Konieczne jest zrozumienie przez ludność, że niepodległość to nie znaczy automatycznie dobrobyt. Współpraca rządu z syndykatami oddaje tu wielkie usługi.

Maroko stoi na gruncie współpracy i wymiany międzynarodowej, nie autarkii, chce pomocy kapitałowej i technicznej na zasadach pełnego poszanowania praw i interesów oraz wzajemności usług. Stąd życzliwy stosunek do cudzoziemców, którzy mogą przyczynić się do rozbudowy gospodarstwa narodowego, o ile rozumieją i uznają nową rzeczywistość. Przykładem tego są starania o zawarcie konwencji marokańsko-francuskiej w sprawie pozostania pracowników Francuzów, której stoi niestety na przeszkodzie wiele kompleksów.

— Państwo i naród dążą w drodze ewolucji ku demokracji typu parlamentarnego, z uwzględnieniem jednak specyficznych tradycji miejscowych, spuścizny religijnej i kulturalnej Maroka. Istiklal nie zamierza być „monopartią"; opozycja jest dopuszczona. Ruch republikański nie ma zwolenników; naród jest zadowolony z rozwoju wypadków w kierunku monarchii konstytucyjnej. — Wtrącam, że mądre i serdeczne wystąpienie króla do związków zawodowych może być przykładem dla wielu demokratycznych krajów.

Minister Buabid podkreśla rolę decydującą oświaty w tych procesach. Zadania są kolosalne. Zamiast oświaty na pokaz, która cechowała okres Protektoratu, zamiast nielicznych kosztownych szkół, kraj musi się pokryć siecią szkół najskromniejszych, ale zdolnych do objęcia oświatą milionów dzieci. — Zahaczamy o „język światowy". Maroko chce utrzymać język francuski — jako główny język obcy — planuje nauczanie go nawet na szczeblu szkoły powszechnej. Ale odejście nauczycieli francuskich utrudni to zadanie... — To proste stwierdzenie jest „wyzwaniem" dla francuskich przyjaciół Maroka!

— Maroko nie chce komunizmu i daje tego dowody. Głosy o penetracji komunistycznej w Istiklalu i U.M.T. są bezpodstawne. Póki komuniści deklamowali o niepodległości, której nie było, znajdowali tu pewien posłuch, ale doktryna i system komunistyczny są obce duszy arabskiej.

— Poruszam koncepcję „socjalizmu na zasadach Islamu" El Fassiego. Minister wyjaśnia wpływ Islamu na formowanie się charakteru narodowego i ustroju społecznego. Cechą zasadniczą jest bezpośredni stosunek człowieka do Stwórcy, bez pośrednictwa kasty kapłańskiej. Stąd nie było sporów między Kościołem a państwem i utrwaliło się poczucie godności ludzkiej, bo każdy wobec Boga jest równy. Nie było więc podstaw dla powstania zjawiska „proletariusza", który by się uważał za istotę odmienną od innych, ani „proletariatu", jako klasy. W oparciu o tę sytuację, jak również o fakt, że kraj nie przechodził ostrej fazy koncentracji kapitału i wyzysku siły roboczej, Maroko ma nadzieję osiągnąć postępowy ustrój społeczno-gospodarczy bez przechodzenia przez destrukcyjne fazy rewolucyjne, typowe dla Europy. „Chrześcijanie przynieśli komunizm" — pada oskarżenie. — „Islam może zapytać chrześcijaństwo, dlaczego encykliki społeczne papieży ukazały się po a nie przed Manifestem Komunistycznym..."

— Maroko zamierza prowadzić politykę niezależną w konflikcie Wschód-Zachód, zachowując wierność zasadom, których realizacja przyniosła mu niepodległość. Maroko wiąże nadzieje z rozwojem znaczenia Narodów Zjednoczonych i docenia rolę, jaka przypada najnowszym członkom ONZ.

— Federalizm, jako nowoczesne narzędzie w organizowaniu współpracy politycznej i gospodarczej między państwami, zwłaszcza średnimi i małymi oraz gospodarczo nie w pełni rozwiniętymi, przynosi interesujące możliwości dla Afryki, ale należy zauważyć, że ekonomie krajów Afryki północno - zachodniej nie są kompletarne i ciekawe widoki otwierałaby współpraca tych krajów z Europą.

— Minister Buabid życzliwie przyjmuje moje twierdzenie, że Maroko nie może nie ustosunkować się z sympatią do tendencji wyzwoleńczych wśród narodów Europy środkowo-wschodniej. Widzę zrozumienie różnicy między narzuconymi reżymami a narodami i ich pragnieniami, nieufność wobec „stalinowców" tam i za granicą. Duże zainteresowanie wywołują osiągnięcia „rewolucji październikowej" w Polsce, trzeźwa postawa narodu polskiego przy równoczesnym bezustannym dążeniu do niepodległości.

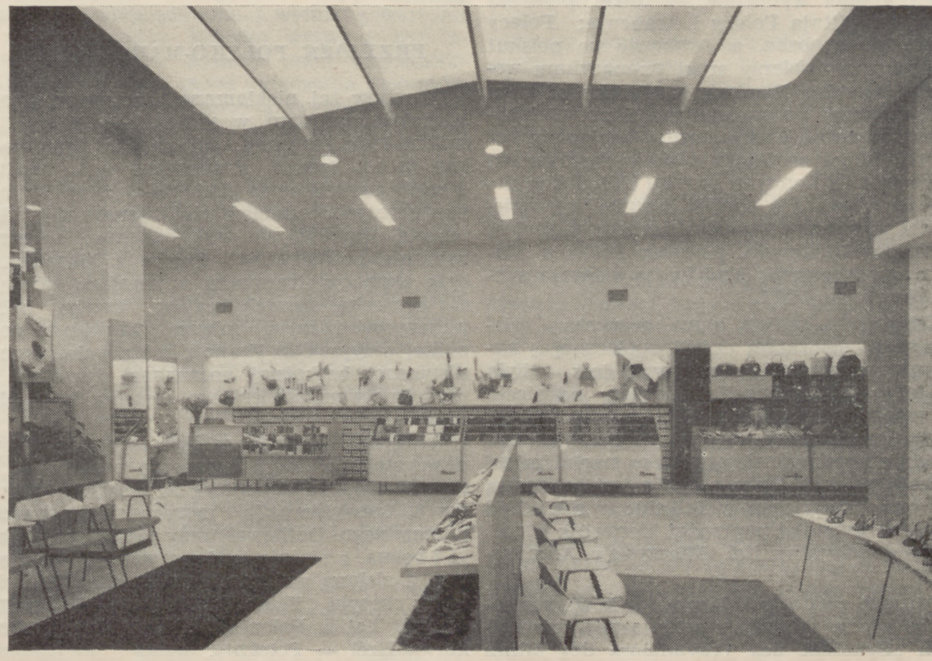
— Naród i rząd Maroka traktują z przyjaźnią i szacunkiem tych cudzoziemców, a wśród nich Polaków, którzy pragną współdziałać w rozwoju niepodległego Maroka. Odpowiadam, że pozytywne ustosunkowanie się do Polaków sprawi, iż będziemy bronili dobrego imienia kraju, w którym rodacy nasi czują się towarzyszami pracy i przyjaciółmi.

Młody minister pracy i opieki społecznej, J. E. Ibrahim ceni pracę i wkład Polaków. Jest zainteresowany sprawą imigracji specjalistów; na razie jeszcze sytuacja nie pozwala na rozmach, ale w latach 1957-58 Maroko zamierza realizować plany sprowadzania wartościowych imigrantów. Jest gotów rozpatrywać każdą konkretną propozycję.

Dane o bezrobociu i konfliktach pracy wykazują postępy w walce o pełne zatrudnienie. 27.000 bezrobotnych zarejestrowanych obok 100-120.000 bezrobocia przejściowego wśród elementu przepływowego między miastem i wsią, nie są to cyfry niepokojące. Ilość poważnych konfliktów pracy spada z miesiąca na miesiąc; w marcu 1956 r. było ich 74, a w listopadzie tylko 19. Współpraca między rządem a Unią Syndykatów Marokańskich — U.M.T. układa się zgodnie.

Z powodu niepomyślnego zbiegu dat nie dochodzi niestety do skutku spotkanie z J. E. El Mehdi ben Barka, prezydentem Zgromadzenia Narodowego, którego uprzejme zaproszenie przekazuje mi jego sekretarz Filali Tajeb, typowy przedstawiciel udziału młodych w pracy państwowej.

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych odwiedzam Dyrektora Szerkaui, który reguluje sprawy cudzoziemców. Nad wyraz przyjaźnie mówi o stosunku do Polaków, wyraża uznanie dla ich postawy, lojalności, organizacji wewnętrznej i wystąpień. Informuje mnie o polityce Maroka wobec uchodźców. Oglądam tekst przystąpienia do konwencji genewskiej i świeżo wydane, „jeszcze ciepłe" Dokumenty Podróży w języku arabskim i francuskim, czytane z prawa na lewo.



Wnętrze sklepu w Marakeszu — projektował S. Korytkowski

C. M. A.

„Compagnie Minière d'Agadir" to polska i marokańska robota, dzięki której ze skał Idikelu, Tizgi Lilan, a od niedawna Anu Iszu, marokański mangan idzie w świat. Setki Arabów znajdowały tam zatrudnienie, gdy inne przedsiębiorstwa stawały. Tubylcy pracują w warunkach społecznie godziwych, zgodnie z nowoczesnym ustawodawstwem pracy, a nade wszystko pracodawcy i pracownicy pracują jak ludzie z ludźmi!

Postronni powiedzą, że CMA to Leon Śliwiński, ale nasz polski „tycoon" pierwszy zaprzeczyłby temu, mówiąc, że CMA to „ekipa", osiągnięcie zbiorowe.

Z biur CMA na av. d'Amade w Casa, jedziemy ze Śliwińskim i Reyem w objazd: Agadir, Uarzazat, Marakesz, Casa...

W Agadirze (po arabsku — forteca), w cieniu „kazby" (zamku), na wysokiej górze nad cudowną zatoką, — depot CMA w porcie. Stykam się z robotą zespołu, którego polskość podkreślają zasłużone nazwiska współpracowników-seniorów, nestorów polskiego wysiłku zbrojnego: admirała Unruga i płk. Gano. Egzotyka łączy się z nowoczesnymi wymaganiami: Sewer Morawski, szef służb transportowych, opowiada jak pod pachy w wodzie ratował tabor zalewany przez wezbrany górski „ued" (rzeka); Adam Brzozowski odrywany był od zajęć administracyjnych, żeby walczyć z chmurą szarańczy, która mu zjadała ogród... Na molo kupy posortowanej rudy manganowej z polskich kopalń; w kabinie kapitana statku hiszpańskiego asystuję przy transportowych pertraktacjach polsko-arabsko-francusko-hiszpańskich, pod figurą Matki Boskiej, przy kielichach „Xeresu"...

Nocą przez Tarudant, opasany zębatymi wałami, gdzie postój w hotelu-pałacu byłego paszy, jedziemy krajem, o którego niebezpieczeństwach cuda opowiadają w Paryżu, a nawet w Casa. Strachy rozwiewają się, gdy zatrzymuje nas uzbrojony po zęby brodacz w turbanie i po wymianie arabskich uprzejmości z Reyem prosi polskich przyjaciół o podwiezienie, a wchodząc do samochodu z ufnością oddaje do potrzymania karabin...

W górskim pustkowiu berberskiej krainy Sus, u stóp srogich szczytów Ififulu i M'Gorn, domy i hałdy, odkrywki i szyby, warkot motorów i grzmot wybuchów — Idikel, pierwsza kopalnia. Witają Polacy i Arabowie; Polacy mówią po arabsku, a Arabowie po polsku! Kierownictwo dzierży srogi ex-marynarz wojenny, Bolesław Rosikoń, w Maroku od roku 1931, mówiący po arabsku jak Arab. W laboratorium działa zamiłowany geolog-amator Rudolf Scholz ze Śląska, niegdyś farmaceuta, przybyły tu z Londynu w roku 1951, dokąd dotarł po ucieczce z niewoli niemieckiej, wzięty z I dywizją. Dowódcą sprzętu mot. jest Bronisław Bińkowski, pierwszy Polak w Maroku wybrany przez Arabów na delegata syndykalnego do UMT.

Księgowym, szefem biura, doktorem, pielęgniarką, delegatem opieki społecznej i wyrocznią w sprawach prywatnych jest — była niestety — Krystyna Tyszkiewicz, od pięciu lat matkująca kopalni. Trzeba było widzieć zaufanie, szacunek, respekt i przywiązanie, jakimi otaczali górnicy tę, którą nagła śmierć zabrała na posterunku. — Nie jest to zresztą pierwszy polski zgon w Idikelu: w roku 1956 zginął w wypadku poprzedni kierownik kopalni, nieodżałowany inż. Mieczysław Arendarski.

Poznaję górników Marokańczyków; rozmowy w biurze związku z sekretarzem generalnym „Syndicat des Travailleurs des Mines d'Idikel", Lahussejn ben Ali i jego kolegami, rozmowy przy herbacie z miętą w murowa-



Kopalnia Idikel

nych mieszkaniach górników — pokazują najprzyjaźniejsze stosunki w idikelskiej „rodzinie".

Tizgi Lilan koło Uarzazat — to druga kopalnia CMA, wśród pół „patatowych" (kawały rudy manganowej), otoczona wieńcem próbnych eksploatacji, gdzie „Araby migają po skałach jak gołębie". Kierownikiem jest uniwersalny Józef Ronek z Tomaszowa Mazowieckiego i II dywizji, od lat pięciu w Maroku. Trafiam na wizytę Kaida z Uarzazat, J. E. Si Mohameda Kanaby, który na wiecu górników mówi o nowych warunkach w niepodległym Maroku, o pracy dla kraju, nie dla obcych, razem z Polakami — przyjaciółmi, nie wyzyskiwaczami; z ust młodego dygnitarza, jak z ust polskich, pada słowo „rodzina"; wiec staje się manifestacją przyjaźni, jedyny oporny składa Ronkowi zapewnienie uległości.

W trakcie podróży, CMA kupuje nową kopalnię — w Anu Iszu, koło Tinrir; odżyje eksploatacja, będzie zatrudnienie dla wiosek okolicznych, po raz pierwszy pracownik tamtejszy dostanie kartę pracy i świadczenia społeczne.

PRZYJAŹŃ POLSKO-MAROKAŃSKA

Dowodów tej niekłamanej przyjaźni nazbierałem mnóstwo, w stolicy i w „bledzie"; zmieniał się stosunek, gdy prędko wyjaśniałem, że nie jestem Francuzem ani Anglikiem; wiedzieli co to „Polonia-Bolonia". Własne przeżycia odczuwa się intensywniej niż odległe wypadki, nic więc dziwnego, że nieustannie porównywano Polskę z Marokiem, byłą okupacją francuską z trwającą okupacją sowiecką naszych krajów. Trzeba było wykazywać różnicę między zaniechaniami naszej przyjaciółki Francji, a złą wolą komunistycznej, bezbożnej, narzuconej dyktatury i niewolnictwem sowieckiego systemu kolonialnego.

W Idikelu miałem zaszczyt przemawiać na uroczystości z okazji przesłania pozdrowień i przyjacielskiego upominku od polskich harcerzy w Londynie dla marokańskiego hufca harcerskiego. Defilowali przy dźwiękach trąbki i bębna, z pieśnią, pod czerwonym sztandarem z zieloną gwiazdą szeryfiańską. Wznosiliśmy okrzyki „Yahia El Moghreb! Yahia El Malik! Yahia Polonia!" (Niech żyje Maroko — Król — Polska!).

Z Bińkowskim i Hassanem Ben Lachsenem pojechaliśmy do Tafrautu, wśród najdziwniejszych czerwonych skał, żeby odwiedzić Kaida, J. E. Hadż Ahmeda, który słuchał wiadomości o Polsce i w długim przemówieniu stwierdzał jak ceni Polaków; nikt jeszcze mnie nie witał słowami: „nawet góry się cieszą z Twoich odwiedzin..." Rozmawialiśmy z Kalifem Si Abdul Azizem, sędzią pokoju, sekretarzem UMT, nauczycielem szkoły — czułem zadowolenie rozmówców, że przyjezdnemu i przyjaznemu słuchaczowi z polskiego Londynu mogli mówić o swojej pracy, gdzie widzą wśród siebie i doceniają rolę Polaków. Zwiedziliśmy dobrze utrzymany szpital; naczelny lekarz dr Juan Huertas, Hiszpan, opowiadał o pionierskiej służbie lekarzy w odległych prowincjach. Francuzi doktorzy wyjeżdżają; próbowano Niemców, ale stawiali zbyt wygórowane warunki...

W domu Saida Mohameda w Ait Ussim, na którego terenach leży kopalnia Idikel, doświadczyłem tradycyjnej gościnności arabskiej; na dywanach i poduszkach siedziałem bez butów, jadłem palcami kuskus, migdały w oliwie, masło, miód górskich pszczół („jedzenie nieodpowiednie dla nieżonatych" — mówił Bużma, krewny Saida), myłem ręce między potrawami, a przede wszystkim słuchałem i brałem udział w rozmowie, prowadzonej z właściwą Arabom dwornością i inteligencją. O stosunku do Polaków niech świadczy powiedzenie Saida do „Belbusa" Bińkowskiego: „...możesz jechać ostatecznie do Polski, gdy będzie wolna, ale nie wolno ci jechać do Francji, ani do Anglii, a najlepiej zostań z nami w Maroku..."

Ze Śliwińskim i Reyem składaliśmy wizyty w Uarzazat w „Amelacie" Gubernatorowi prowincji J. E. Medbuh Mohamed; Super-Kaidowi, J. E. Si Llahsen Mulud; dyrektorowi gabinetu Gubernatora Bukili M'Hamed. Wszędzie słuchano z zainteresowaniem co myślą wolni Polacy o historycznym zjawisku wyzwalania się narodów, co mogą i chcą zrobić, by urabiać korzystną opinię w świecie dla swoich marokańskich przyjaciół, dla ich woli ładu, rozwoju gospodarczego, oświaty. Wyrażano szczerą życzliwość dla „marokańskich Polaków"; Super-Kaid Mulud powiedział o Śliwińskim i Reyu: „was panowie uważam raczej za swoich"... I rzeczywiście, gdy w okresie zaburzeń, francuskich przedsiębiorstw pilnowało wojsko francuskie, to Polakami opiekował się Istiklal i UMT!



Przyjaźń polsko-marokańska: konsul Śliwiński na wiecu

Polski instynkt dyktuje właściwą postawę; gdy farmerzy francuscy po rozruchach w Meknes proponowali Antoniemu Choryńskiemu odesłanie żony i schronienie się we wspólnie ufortyfikowanej farmie, Polak odmówił, został na swojej ziemi, ze swoimi ludźmi; w okresie niepokojących pogłosek rodziny arabskie samorzutnie strażowały pod oknami domu, żeby przypadkiem nieodpowiedzialni awanturnicy nie splamili marokańskiego honoru wobec przyjaciół.

Gdy wracaliśmy przez Wysoki Atlas do Casablanki, na przełęczy Tiszka, w mroźną wietrzną noc pod szczytem Tubkal (4.165 m), nawaliły hamulce Chryslera. Wybawił nas z kłopotu autobus wiozący arabską rodzinną wyprawę z Zagory do Marakesz. Oparci o jego zderzaki zjechaliśmy bezpiecznie w doliny; wybawienie nastąpiło tym chętniej, że kierowca wiozący wyprawę poznał od razu Śliwińskiego, bo pracował w Idikelu, gdzie nauczono go mechaniki i... języka polskiego! Tak podróżują Polacy, wśród przyjaciół, po marokańskich górach. Ta sama przyjaźń na drogach dalekich, co w stołecznych spotkaniach, np. ze wspólnikiem dyrektora gen. CMA, Jalil Thazi i jgo uroczą żoną, córką gen. Meziana; ta sama uprzejmość w „sukach" (targi) Marakeszu, gdzie człowiek spokojnie chodzić może sam; ta sama gościnność ze strony np. wiceprezydenta Radia Międzynarodowego, L. Bensimona, przyjaciela i doradcy technicznego J. K. W. Księcia Mulaj Hassana, następcy tronu, dokąd nas wprowadził dyr. Juraszyński i gdzie na liście radio-amatorów znaleźliśmy polskich korespondentów...

Jestem przekonany, że w ekonomii Maroka, w przemyśle i górnictwie, handlu, wolnych zawodach, lecznictwie i oświacie, jest miejsce dla przedsiębiorczych Polaków znających język francuski. Inwestycja polskiej pracy przyda się Krajowi teraz i później. Zanim będziemy mogli wrócić, a także i na dłuższą metę, służą Polsce Polacy w Maroku, Libii, Etiopii, Sudanie, w Azji i w Amerykach, jak niegdyś dobremu imieniu Polski pod zaborami służył Domeyko, którego pomnik stoi w Santiago de Chile.

KOZY NA... DRZEWIE

Maroko to kraj kontrastów. Obok meczetów i pałaców Marakeszu, drapacze amerykańskie Casablanki. Niestety jeszcze, obok bogactw miast, bieda „duarów" (miasteczka) i „ksarów" (wioski). Kraj dziwów takich, jak kozy pasące się na drzewie arganowym, których fotografię dała mi Adasiowa Brzozowska w Agadirze. Doskonałe drogi w pustkowiach. Brodaci prorocy w pradawnych strojach za kierownicą amerykańskich wozów. W taksówkach natłoczone kobiety zakryte po oczy, kobiety marokańskie, które stopniowo emancypuje przykład J. K. W. Księżniczki Lali Aiszy, żon przywódców wolnego życia politycznego i społecznego, urzędniczek w biurach państwowych i przedsiębiorstwach. Wielożeństwo i surowe obyczaje, które każą cudzołóstwo więzieniem. Szarańcza, jak śnieg lecąca wzdłuż górskich dróg, bije w szyby samochodu. W wiekowych arabskich siedzibach — elektryczność. Kot chrupie suszoną szarańczę na pokarm dla bydła, koło samochodu i lodówki, w sadybie z gliny i chróstu. Kobiety ciągną pług na poletkach, opodal domów-fortec, kryjących bogactwa płynące z handlu w dalekich miastach. Palma daktylowa — samiec, zapładniająca żeńskie drzewa, stanowi własność wspólną kilku rodzin...

Obok jednak bogactw naturalnych, które nowoczesna technika eksploatuje, największym bogactwem kraju jest zdolność mieszkańców, którą oświata wyostrzy, a dyscyplina społeczna zamieni na sprawną pracę.



Kozy na drzewie...

TIUMLILIN

W opactwie benedyktyńskim w Tiumlilin, wśród cedrów Średniego Atlasu, organizowane są od paru lat konferencje, na których afrykańscy reprezentanci różnych ras i wyznań, z krajów wolnych i jeszcze podległych, dyskutują razem z Europejczykami o braterstwie ludów w sprawach Bożych i ludzkich. Oby te spotkania, o których z zapałem opowiadała żona dyr. Lorrain Cruze, stały się istotnie symbolem współdziałania ludzi dobrej woli.

Wyzwolenie nieść powinno odprężenie napięć światopoglądowych i wymianę wartości, zamiast zastoju, którego wyrazem był zakaz nawracania, wydany przez arcykatolickiego Lyauteya i zakaz zwiedzania meczetów. Kościół katolicki szanował zawsze osobowość narodu i ufał mu; w klasztorach znajdowali schronienie bojownicy o wolność.

Rządcy niepodległego Maroka stoją na stanowisku tolerancji i obrony religii; premier Maroka J. E. Si Bekkai tak mówił w przemówieniu noworocznym: „...Toczy się pojedynek, którego stawka przewyższa swym znaczeniem stawki konfliktów przeszłych. Chodzi już nie o ocalenie tego czy innego kraju, ale samej zasady religii, bez względu na wyznanie... o obronę wszystkich wierzeń przeciwko ateizmowi... My wszyscy, którzy wierzymy w Boga, chrześcijanie, muzułmanie, izraelici, odmawiamy sprzeniewierzania się naszym zasadom duchowym, które są naszą racją bytu... Prawa Boskie w ostateczności wygrają... Zostaną wysłuchane nasze wspólne modlitwy o obronę cywilizacji człowieczej w pokoju powszechnym..."

Posłannictwo religijne i godność człowieka ochronią Maroko od komunizmu. Ale konieczna jest postawa ofensywna, nie żałobna defensywa, której wrażenie odniosłem patrząc na tłum francuski w „psychozie zagrożenia" na niedzielnej Mszy św. wieczornej w Agadirze...

O religii w Maroku mówi się dużo, nie tylko z Imamem w „medersie" (uniwersytet religijny) Ben Jusef w Marakesz. Mówią o religii ministrowie, szef partii rządzącej, żebracy. Dozorca garażu CMA w Agadirze chodzi z różańcem wśród wozów. Po ulicach widzi się młodych chłopców, kroczących do meczetu ze złożonymi w modlitwie rękami. Pod murem pałacu gubernatora w Uarzazat, żołnierz odstawia karabin i bije czołem ku czci Allaha... Marokańczycy, a z nimi Polacy, gdy mówią o planach zamierzonych, dodają powiedzenie „Insz Allah!" (Jeżeli Bóg pozwoli)...

INSZ ALLAH...

Polacy biorą chętnie udział w radosnej pracy wyzwolonego Maroka, na przekór krakaniu cyników i pesymistów. Za to, co zobaczyłem dzięki polskim i marokańskim przyjaciołom mówię: „Barak Allahu fik" (co znaczy: Bóg zapłać).

Praca nie jest łatwa; nie zabraknie trudów i rozczarowań, ani przejściowych — należy ufać — kryzysów. Ale ufać warto.

Nie grozi Marokańczykom łatwy optymizm. Minister Buabid nazwał swój program w exposé w parlamencie „...językiem nie łatwizn, ale pracy, bo tylko za cenę pracy wygramy naszą niepodległość. Każdy dzień pracy umacnia naszą niepodległość, jest cegłą dokładaną w budowaniu nowoczesnego Maroka. Ta budowa jest wspólnym dziełem wszystkich, robotników i wieśniaków, przemysłowców i rzemieślników. Każdy musi uczestniczyć czynnie w wysiłku zbiorowym..."

Insz Allah! A Bóg pozwoli, jeżeli stary-młody naród — nie oglądając się na zarzuty wrogiej propagandy i nie tracąc energii na nienawiść — będzie wierny głoszonym dzisiaj hasłom.

Stanisław Grocholski

NIEMCY

Gerstenmaier — Ollenhauer — Wegner na konferencjach prasowych w Berlinie

(Od własnego korespondenta ŻYCIA)

Berlin, w marcu 1957 r.

W pierwszej dekadzie marca odbył się w Szpandawie Synod Kościoła ewangelickiego w Niemczech, w którym m. in. uczestniczył czołowy działacz protestancki dr Eugen Gerstenmaier, prezydent Bundestagu w Bonn i wiceprezes zachodnio-niemieckiej chrześcijańskiej demokracji. W tym samym czasie obradował w Berlinie zarząd główny partii socjal-demokratycznej (SPD).

Sprawozdanie z podróży. Zebranie to nabrało szczególnego znaczenia, ponieważ nie tylko omawiano na nim taktykę wyborczą (w związku z wrześniowymi wyborami do parlamentu w Bonn. Prezes stronnictwa Erich Ollenhauer zdawał na posiedzeniu tym sprawozdanie z podróży swojej do Stanów Zjednoczonych. Gerstenmaier i Ollenhauer odbyli konferencje prasowe z dziennikarzami niemieckimi i zagranicznymi. Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej zaprosiło ponadto na obiad czołowego przywódcę socjaldemokracji niemieckiej Herberta Wehnera, przewodniczącego parlamentarnej komisji dla spraw ogólno-niemieckich.

Jeśli w czasie konferencyj, jakie odbywały się w Berlinie na przestrzeni ostatnich trzech miesięcy minionego roku, dominowały sprawy polityki zagranicznej, a wśród nich przede wszystkim zagadnienia polskie, to tym razem ogólne zainteresowanie dziennikarzy skupiało się bardziej dookoła spraw wewnętrznych. Sprawy polskie zniknęły nagle nieomal całkowicie. Gdyby nie natarczywe pytania korespondenta ŻYCIA, nie mówiono by o Polsce w ogóle. Korespondenci wschodnio - europejscy, akredytowani przy rządzie wschodnio-niemieckim, należą wspólnie z dziennikarzami do Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej. Przyłączyli się oni, tym razem dość opieszale, do pytań dotyczących stosunku Niemieckiej Republiki Federalnej do Polski i innych krajów wschodniej Europy. Dziennikarze warszawscy nie odzywali się zupełnie.

Sprawa niezmiernie delikatna. Dyskusja z Gerstenmaierem dotyczyła nieomal wyłącznie spraw Synodu Kościoła ewangelickiego. Było to całkowicie zrozumiałe, gdyż na Synodzie decydowało się zatwierdzenie układu, zawartego prze Kościół ewangelicki z rządem w Bonn, a normującego opiekę duszpasterską nad żołnierzami zachodnio-niemieckimi. (Podobny układ dotyczący Kościoła katolickiego ma być zawarty w najbliższym czasie.) Układ był negocjowany przez berlińskiego biskupa ewangelickiego Dibeliusa, będącego zarazem prezesem Rady Kościołów Ewangelickich w Niemczech.

Spośród organizacji narodowo-niemieckich jest Kościół ewangelicki jedyną instytucją, która zachowała w podzielonych Niemczech charakter jednolity. Rada i Synod obejmują przedstawicieli Kościołów zarówno w zachodnich jak i we wschodnich Niemczech. Układ wymagał ratyfikacji ze strony Synodu jako najwyższego ciała ustawodawczego. Była to sprawa niezmiernie delikatna dla licznych przedstawicieli wschodnich Niemiec. Opór ich groził odrzuceniem ratyfikacji, ponieważ wymagana była większość 2/3 głosów. Głosowanie za układem dotyczącym armii zachodnio-niemieckiej, tak zaciekle zwalczanej przez rząd komunistyczny we wschodnim Berlinie, zawierało niebezpieczeństwo przykrych konsekwencji dla Kościoła na wschodzie. Odrzucenie układu spowodowałoby rozłam w łonie Kościoła i pogłębiłoby tym samym jeszcze bardziej podział Niemiec.

Dyskusja na Synodzie była długa i namiętna. Do ostatniej chwili wynik głosowania był wątpliwy, tym bardziej, że i pacyfistyczne koła Kościoła zachodnio-niemieckiego (np. biskup Hesji Niemoeller) wypowiadały się przeciwko ratyfikacji. Ostatecznie układ przyjęto, nawet dość znaczną większością głosów. Przedstawiciele wschodnich Niemiec głosowali przeważnie za ratyfikacją. część wstrzymała się od głosu. Zwyciężyła zasada utrzymania jedności Kościoła za wszelką cenę.

Czy postawa ta uratuje istotnie jedność Kościoła ewangelickiego w Niemczech? Na horyzoncie zbierają się groźne chmury. Rząd wschodnio-niemiecki zapowiada retorsje. Biskupowi Dibeliusowi, który bezpośrednio po Synodzie miał odprawić uroczyste nabożeństwo w Dreźnie, odmówiono przepustki. Tegoroczny ogólno-niemiecki zjazd ewangelicki nie będzie się mógł przypuszczalnie odbyć w Turyngii, ponieważ władze wschodnio-niemieckie się temu sprzeciwiają. Bezpośrednio po Synodzie zwołał rząd wschodnio-berliński konferencję kół Kościoła, stojących w opozycji do wojskowego układu. Zdaje się, że na konferencji tej wywierany będzie nacisk w kierunku odłączenia się od Kościoła zachodnio-niemieckiego. Trudno dziś przewidzieć dalszy rozwój wydarzeń. W każdym razie Kościół ewangelicki we wschodnich Niemczech wchodzi w nową fazę napięcia a może i prześladowań.

Za udzieleniem Polsce pomocy gospodarczej wypowiedział się na konferencji prasowej prezes SPD Erich Ollenhauer. Na zapytanie korespondenta ŻYCIA, czy w rozmowach prowadzonych w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych poruszana była także sprawa granicy polsko-niemieckiej i jakie stanowisko w tym względzie zajmowali rozmówcy amerykańscy, odpowiedział Ollenhauer, że Amerykanie nie wypowiadali się w sprawie granicy. On natomiast — poruszając zagadnienie zjednoczenia Niemiec — musiał rozmówcom swoim przedstawić m. in. socjal-demokratyczny pogląd na tę sprawę. Pogląd ten jest zgodny ze znanym stanowiskiem SPD, tzn. że dopiero przyszły traktat pokojowy rozstrzygnąć może problem granicy.

Na kongresie socjalistów niemieckich, jaki odbył się w lipcu ub. roku w Monachium (vide ŻYCIE nr 33 z dnia 12 sierpnia 1956), powiedział Ollenhauer w programowym przemówieniu swoim m. in.:

„Partia socjaldemokratyczna nie uznaje linii na Odrze i Nysie za ostateczną wschodnią granicę Niemiec. Dążymy (wir erstreben) do wolnych, demokratycznych i pokojowych Niemiec w granicach z roku 1937, mających dobre sąsiedzkie stosunki na zachodzie i na wschodzie, na północy i południu..."

Najciekawsza była tym razem konferencja z Herbertem Wehnerem, jednym z czołowych przywódców socjalizmu niemieckiego. Jest to wybitna indywidualność, główny ideolog partii. namiętny rzecznik interesów robotniczych i postępu. świetny mówca, z postawy i temperamentu klasyczny trybun ludu w dobrym tego słowa znaczeniu. Ciężar gatunkowy Wehnera, bezlitosnego i niebezpiecznego wroga komunizmu, jest tym większy, że Wehner sam był komunistą. że szkolono go w swoim czasie w Moskwie, ale z komunizmem zerwał w pierwszych latach wojny. Należy on bezspornie do najlepszych znawców ideologii komunistycznej i metod, stosowanych przez partię w walce politycznej. Ta znajomość pozwala mu na trafną przeważnie ocenę zamiarów przeciwnika.



Wśród druków i pism otrzymywanych przez Stany Zjednoczone z zagranicy niewspółmiernie dużo miejsca zajmują materiały propagandowe z państw bloku komunistycznego, m. in. i z Polski. Zasypywani są nimi przede wszystkim studenci w Ameryce. Nowojorska komisja badająca te pozornie niewinne przesyłki zastanawia się nad tym, czy nie należałoby ostrzegać przed nimi czytelnika dając na każdej takiej przesyłce kolorową nalepkę: „propaganda komunistyczna"

Wehner wypowiadał się na tematy polskie w zasadzie z sympatią i z właściwym mu temperamentem. Jest zwolennikiem pomocy gospodarczej Zachodu dla Polski, jakkolwiek wątpi, czy Niemcy zachodnie mogą sobie pozwolić na udzielenie Polsce znaczniejszego kredytu. Wehner podkreślał jednak z naciskiem, że pomoc gospodarcza musi być całkowicie apolityczna, wolna od jakichkolwiek warunków czy kalkulacji politycznych. Z tego też powodu zastrzegał się przeciwko nazywaniu pomocy takiej — jak to sugerował w swoim czasie prof. Carlo Schmid — „Europejską Pomocą Marshallowską", gdyż w samej tej nazwie tkwi już pierwiastek natury politycznej

W sprawie granicy stoi Wehner na formalnym stanowisku partii (vide powyższe oświadczenie Ollenhauera). Uważa nawet, że wypowiedzi na ten temat Carlo Schmida, lub ostatnio dr. Sievekinga, są nie na czasie, gdyż niepotrzebnie prowokują kontrakcję i tym samym podniecają namiętności.

Sprawa granicy nie jest, zdaniem Wehnera, obecnie i tak dojrzałą do załatwienia, gdyż po obu stronach spornej granicy stoją wojska rosyjskie. Najlepiej przeto w ogóle na ten temat na razie nie pisać i nie mówić. Przy poruszeniu sprawy nagonki, na tych, którzy okazują tendencje kompromisowe w polsko-niemieckim sporze granicznym i piętnowania ich mianem „polityków rezygnacji" (Verzichtspolitiker), Wehren oświadczył, że operowanie zarzutem „Verzichtspolitiker" stanowi tak samo wielkie niebezpieczeństwo jak lansowana w swoim czasie po pierwszej wojnie światowej „Dolchstosslegende" (legenda o uderzeniu sztyletem w plecy). Podnoszenie przez niektórych szowinistów roszczeń do kraju sudeckiego nazwał Wehner „politischer Unsinn".

Wehner szczególnie ostro zareagował na pytanie jugosłowiańskiego dziennikarza w sprawie pretensji podnoszonych ostatnio w Niemczech pod adresem Polski z powodu zbyt wielkiej ilości Niemców, wracających z Polski do Niemiec. „Niemcy są okropnym narodem" — zawyrokował Wehner. Ongiś podnoszono u nas krzyk, ponieważ Polska nie pozwalała na wyjazd Niemców. Kiedy układ o tzw. „łączeniu rodzin" pozwolił na przyjazd tych, którzy posiadają krewnych w Niemczech, krytykowano fakt, że tylko ta kategoria Niemców otrzymała zezwolenie na powrót. Kiedy ostatnio Polska w sposób bardzo liberalny pozwala na wyjazd każdego Niemca, podnoszą Niemcy zarzut „przymusowego wydalania resztek mniejszości niemieckiej z Polski". O wydalaniu nie ma oczywiście mowy. Kto chce, może jechać, a jest rzeczą zrozumiałą, że Niemcy, którym gospodarczo działo się w Polsce źle, pragną wrócić do swej gospodarczo silniejszej ojczyzny. „Cokolwiek uczyni się w tej sprawie, zawsze będzie złe, Niemcy sami nie wiedzą, czego chcą, są okropnym narodem" — zakończył Wehner swe wywody.

Poniosło go jeszcze bardziej, kiedy korespondent bułgarski zagadnął go na temat stosunku jego do działalności licznych organizacji emigranckich w Niemieckiej Republice Federalnej. Wehner przypomniał, że sam był w swoim czasie uchodźcą politycznym i stwierdził, że nikt nie może emigrantom lub ich organizacjom zabronić prowadzenia akcji, mającej na celu zwalczanie systemu, który zmusił ich do ucieczki. Kiedy w toku odpowiedzi tej Bułgar rzucił słowo „to są faszyści", Wehner skoczył: „Faszyści? — jeśli tak. to i ja jestem faszystą, tak, i tacy faszyści mają prawo do egzystencji i działalności" — po czym dodał już w tonie spokojnym, że nie ma to znaczyć, by popierał lub chciał mieć cokolwiek wspólnego z rosyjską organizacją emigrantów NTS. Przy tej okazji wypowiedział się Wehner także przeciwko istnieniu w Niemczech czy w jakimkolwiek innym kraju zagranicznych radiostacji (aluzja do Radia Wolnej Europy), dodał jednak, że jest także przeciwnikiem oddania tych radiostacji pod zarząd niemiecki.

W konferencji z Wehnerem uczestniczył także poseł socjaldemokratyczny Kalbitzer, który w grudniu roku ubiegłego przebywał w Polsce. Kalbitzer wyraził się z uznaniem o procesie liberalizacji w Polsce, który — zdaniem jego — uprawnia do optymistycznej oceny dalszego rozwoju wypadków.

St. Czechanowski

POPULARNOŚĆ NIEMIECKIEGO HYMNU NARODOWEGO

Niemcy długo zastanawiali się po wojnie nad nowym hymnem narodowym. Po długich dyskusjach spór rozstrzygnął prezydent Niemieckiej Republiki Federalnej, prof. T. Heuss, zarządzając, że utrzymany zostanie dawny hymn: „Deutschland, Deutschland über alles..." z tym, że obowiązywać będzie rozpoczynanie hymnu od trzeciej zwrotki, tj. od słów „Einigkeit und Recht und Freiheit" (jedność, prawo i wolność). Tekst tej trzeciej zwrotki jest jednak mało znany i przeważnie śpiewa się na zgromadzeniach hymn, używając dawnego tekstu pierwszej zwrotki.

Berlińska „Morgenpost" (z dnia 6. 10.), przytacza następującą odpowiedź, udzieloną przez młodego kandydata na urząd administracyjny w zarządzie miejskim m. Berlina. Zapytany przez egzaminatora o tekst trzeciej zwrotki hymnu, odpowiedział bez namysłu: „Deutschland, Deutschland, ohne alles..." (zamiast „Niemcy ponad wszystko", „Niemcy bez wszystkiego"). „Morgenpost" przypomina przy tej okazji, że w pierwszych latach powojennych, kiedy w Niemczech był głód i nędza, berliński zespół kabaretowy „Die Insulaner" śpiewał „Deutschland, Deutschland, ohne alles, Ohne Brot und ohne Speck". (Niemcy, Niemcy bez wszystkiego, bez chleba i bez okrasy...).

ORGANIZACJA GEHLENA

Dzienniki niemieckie podają z Bonn, że prezydent Niemieckiej Republiki Związkowej Heuss ustalił, iż były generał Gehlen, którego organizacja podlega obecnie jako „Służba Informacyjna Związkowa" („Bundesnachrichtendienst") kanclerzowi związkowemu, będzie odtąd nosił określenie urzędowe „prezydenta Służby Informacyjnej Związkowej". Zastępca Gehlena, którego nazwisko trzymane jest w tajemnicy, podobnie jak wszelkie inne szczegóły dotyczące organizacji, nosi określenie urzędowe „wiceprezydenta". Gehlen ma rangę dyrektora ministerialnego. Liczebność jego organizacji, wedle pozycji budżetu związkowego, wynosi 540 urzędników. 641 funkcjonariuszy i 64 robotników.

RAPTULARZ WYDARZEŃ

27 marca —

✱ BUŁGANIN określił politykę Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii jako agresywną oraz zapowiedział, że „Pakt Warszawski będzie wzmocniony w sposób jak najbardziej stanowczy"; potępił również przywódców Jugosławii.

✱ NA WĘGRZECH aresztowano biskupa Petery, opata Endredy i b. sekretarza kardynała Mindszenty'ego, ks. Zakara.

✱ W TEHERANIE podpisano układ o zwiększenie przez Stany Zjednoczone pomocy w materiale wojskowym dla Persji.

✱ NEHRU i CYRANKIEWICZ wydali w N. Delhi komunikat, w którym stwierdzają, że sojusze i bloki militarne nie potrafią zapewnić pokoju.

✱ W POLSCE ogłoszono zmniejszenie sił zbrojnych o dalsze 44.500 ludzi; w ciągu roku redukcja objęła więc 141.500 ludzi; obecny stan szacuje się na 350.000.

28 marca —

✱ W STANACH ZJEDN. ogłoszono, że 5 dywizji znajduje się w trakcie reorganizacji celem przystosowania ich do działań atomowych; reorganizacja całości sił lądowych trwać będzie jeszcze 2 lata.

✱ W JUGOSŁAWII ogłoszono poparcie dla rządu Kadara „dla dobra narodu węgierskiego, oraz dla utrzymania pokoju i socjalizmu".

✱ ARCYBISKUP MAKARIOS został zwolniony z wysp Seychelles, z tym, że nie wolno mu na razie powrócić na Cypr.

29 marca —

✱ LORD SALISBURY, czołowy przedstawiciel prawego skrzydła konserwatystów, ustąpił z rządu Macmillana, nie zgadzając się na nową, ugodową politykę w sprawie Cypru.

✱ ARCYBISKUP MAKARIOS oświadczył, że nie podejmie rokowań z rządem brytyjskim, dopóki nie będzie mógł wrócić na Cypr.

30 marca —

✱ BUŁGANIN ostrzegł Danię, podobnie jak 26 marca Norwegię, przed stacjonowaniem na jej terenie amerykańskich broni atomowych.

✱ PREMIER Tunisu i sułtan Maroka podpisali układ o przyjaźni i współpracy, wyrażając nadzieję, że wraz z niepodległym Algerem będzie mogła wkrótce powstać federacja północnej Afryki.

31 marca —

✱ AMBASADOR GRECKI powrócił do Londynu, po rocznej nieobecności z powodu zatargu o Cypr.

✱ NASSER uzależnił przejazd statków Izraela przez Kanał Sueski od załatwienia sprawy arabskich uchodźców.

✱ IZRAEL oświadczył, że zamknięcie dla jego statków Kanału Sueskiego lub zatoki Akaba będzie uważał za akt wojenny.

✱ PAKISTAN wyraził solidarność z polityką Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie.

✱ NEHRU i BRENTANO wydali w N. Delhi wspólny komunikat o korzyściach rozbrojenia, wspólnocie europejskiej i o zjednoczeniu Niemiec tylko drogą pokojową.

1 kwietnia —

✱ DEBATA o porozumieniu ze Stanami Zjednoczonym na Bermudach odbyła się w Izbie Gmin; omawiano głównie problem brytyjskiej bomby wodorowej, pocisków kierowanych i sprawy Bliskiego Wschodu. Poruszono krótko sprawę Węgier i pomocy dla Polski.

✱ ZWIĄZEK SOWIECKI odrzucił protest Japonii przeciwko wybuchom atomowym na Syberii.

✱ W JORDANII zaostrzył się konflikt pomiędzy kołami umiarkowanymi a prosowieckimi.

MECHANIKA WIELKIEJ ZDRADY

Napisał MACIEJ CYBULSKI

„Nigdy dotąd nie było rzeczą bardziej oczywistą, że kłamstwo — a kłamstwo cnotliwe jest może najpodlejsze ze wszystkich — związane jest w samej swej istocie ze strachem..." Słowa te napisał francuski filozof i pisarz katolicki Gabriel Marcel, po przeczytaniu książki „Dieu contre Dieu?"*) W przedmowie zaś skreślonej przez ks. biskupa Lemaire, przełożonego cudzoziemskich misji katolickich w Paryżu, czytamy zapowiedź, że wielu będzie takich, którym się ogłoszenie tego dokumentu nie spodoba.

Autor, Claude Naurois informuje nas w pierwszym zaraz rozdziale, że książkę swą, przeznaczoną przede wszystkim dla katolików francuskich i belgijskich, zaczął pisać za namową przyjaciół Polaków. Wyjaśnia przy tym, że spędziwszy młodość w naszym Kraju czyta swobodnie po polsku, bez czego nie mógłby przestudiować ogromnego materiału dowodowego, którym rozporządzał. Drugim, ważnym choć negatywnym bodźcem do napisania „Dieu contre Dieu?" było wprowadzenie w błąd autora, któremu jego francuscy znajomi (z tzw. maszerującego skrzydła katolików) w ciepłym świetle przedstawili położenie Kościoła w rządzonej przez komunistów Polsce i rolę polskich „katolików postępowych". Odkrywszy to podstawowe kłamstwo, Naurois zabrał się z pasją i wytrwałością do analizy wszystkich jego aspektów i źródeł. W końcu roku 1955 odbywa podróż do Warszawy, by na miejscu przekonać się, że to polscy emigranci, a nie francuscy intelektualiści mówili prawdę. Jeden z tych polskich przyjaciół dostarcza mu w nieograniczonej ilości czasopism i innych druków o tematyce katolickiej, wydawanych pod kontrolą komunistycznej cenzury. Co więcej zapoznaje on go z polskim księdzem, którego autor pół-żartem (dlatego, że ksiądz wtrąca często w rozmowie słowo „proszę") określi kryptonimem: abbé Prochain, które to słowo znaczy po francusku „bliźni". Ów ksiądz Bliźni, poza darem trafnej oceny zjawisk i ludzi i głębokim, spokojnym rozumem, dysponuje czymś szczególnie dla autora cennym i co w niemałym stopniu przesądza o wartości książki: źródłami informacji, których nie wahamy się tu uznać za rewelacyjne, nie tylko dla czytelnika zachodniego, ale nawet dla znających zagadnienie Polaków. Claude Naurois przyzna zresztą w epilogu, że książka jego, którą zaczął pisać jako „wolny strzelec", stała się w toku pracy dziełem wyspecjalizowanej ekipy autorskiej.

Zatrzymaliśmy się dłużej przy tych szczegółach powstawania „Dieu contre Dieu?", gdyż tłumaczą one w dużym stopniu, dlaczego książka ta, która godzi w sobie galijską werwę polemiczną z dociekliwością i znajomością spraw polskich jest tak poważna, a zarazem tak ciekawa, co — jak wierzymy — rozszerzy krąg jej czytelników i przyczyni się do osądzenia jednego z największych kłamstw naszej epoki.

◆

Claude Naurois zaopatrzył swą pracę podtytułem „Dramat katolików postępowych w Kościele Milczenia". Dramat ten odczuł on i zrozumiał do głębi. Znajduje to wyraz nawet w wewnętrznej, niezależnej od formalnego rozbicia na rozdziały i tematy, konstrukcji książki. Główne dramatis personae to: generał NKWD Iwan Sierow, Bolesław Piasecki i biskup kielecki Czesław Kaczmarek. Pomiędzy tymi osobami, a raczej w oparciu o historyczną rolę każdej z nich rozpięta jest cała treść tego traktatu o wielkiej zdradzie.

Sierow, któremu zwycięski Dżugaszwili polecił uruchomienie planu zniszczenia Kościoła w Polsce rękami polskich katolików i który chciałby wykonać to zadanie na zimno „bez świętych i męczenników", reprezentuje tu siły zła wcielonego.

Piasecki, w chwili gdy pod groźbą wyroku śmierci podejmuje się roli polskiego wykonawcy planu Sierowa, ma być może skrytą nadzieję, że uda mu się oszukać diabła; gubi go wyrosłe z niesamowitej wprost pychy przekonanie, że tylko on, Piasecki, potrafi katolicyzm w Polsce uratować — wbrew biskupom i wbrew Stolicy Świętej, skoro nie można wbrew Stalinowi.

Ks. Kaczmarek wreszcie, umęczony biskup, na którym w chwili złamania go w nieludzkim procesie, dziwnym zrządzeniem Opatrzności załamuje się też cały misterny mechanizm Sirowa zbudowany tylko po to, by oderwać katolików polskich od Rzymu. Skoro okazuje się, że doprowadziwszy człowieka, przy pomocy wszystkich wypróbowanych sowieckich metod do krawędzi obłędu i odebrawszy mu przytomność na czas składania zeznań — nie można z polskiego biskupa zrobić patriarchy Tichona, czy metropolity Serża, to znaczy, że mechanizm nie spełnia głównego zadania — prymas Wyszyński, gdy przyjdzie godzina jego uwięzienia, będzie już traktowany inaczej.

Piasecki zawiódł, nawet nieprzyjaciół.

Rozdziały poświęcone strategii Sierowa, początkom kariery Piaseckiego i naukowemu łamaniu woli biskupa Kaczmarka czyta się jak najlepsze partie powieści Koestlera czy Teodora Plivier. Niewątpliwie, obok talentu Naurois, przyczynia się do tego bogactwo informacji, którymi rozporządza ksiądz Bliźni. Są wśród nich szczegóły dotyczące składu personalnego i metod pracy głównej kwatery Sierowa we Włochach pod Warszawą, jest wyliczenie, jacy ludzie, z jakich departamentów Ministerstwa Bezpieczeństwa doglądali narodzin „Paxu", jakimi sposobami szantażowano „księży-patriotów", aż po nazwiska funkcjonariuszy UB, którzy zakładali podsłuch w pałacu arcybiskupim w Warszawie i w siedzibach innych biskupów. Oszołomiony autor książki zapyta w pewnej chwili dziwnego księdza, skąd może on to wszystko wiedzieć. Odpowiedź zaskoczy go swą prostotą: od nawróconych prześladowców, od agentów, a nierzadko wysokich urzędników tej samej „bezpieki", na których spłynęła Łaska. Ksiądz Bliźni przypomni zresztą autorowi, że obowiązuje go cenzura kościelna przed wydaniem książki, która istotnie zaopatrzona jest w „Nihil obstat".

Książka oparta jest zresztą przede wszystkim na dokumentach i cytatach, co jest rezultatem ogromnej pracy autora i jego imponującej siły woli, która pozwoliła mu uporać się z tą masą wylanej na papier mętnej wody, jaką wypełnione są artykuły Łubieńskiego, Kętrzyńskiego, Reiffa, Auleytnera i kilku innych. Mętność tego „filozowstwa" wychodzi jeszcze gorzej w tłumaczeniu na język francuski, tak bogaty i precyzyjny w swym słownictwie filozoficznym.

Osobny rozdział poświęcony jest książce Piaseckiego „Zagadnienia istotne", umieszczonej przez Stolicę Apostolską na indeksie, wraz z programowym tygodnikiem „Paxu" pt. „Dziś i Jutro". Naurois'a zastanawia ubóstwo myślowe tego „dzieła", które miało wytyczyć katolikom polskim nową drogę „ontologicznego" — przez pracę — Boga-Stwórcy (by nie napisać: Boga-producenta), a w której polskim wydaniu Naurois nigdzie nie znajduje imienia Chrystusa. Autor „Dieu contre Dieu?" zastanawia się, w jaki sposób ideolog tak niskiej klasy znajdować może posłuch wśród polskiej inteligencji katolickiej.

Częściowo wyjaśnia mu to ksiądz Bliźni, który widzi źródła inspiracji i powodzeń tego ruchu głębiej, poza światem rzeczy widzialnych. Piasecki i jego ekipa nie dorośli do roli herezjarchów. Środki finansowe czerpane w początkach ruchu od „pułkownika Luny Brystygerowej z departamentu 5 „bezpieki" same przez się nie pozwoliłyby zbudować „Paxu". Właściwym twórcą dzieł takich, jak tajemnicza „Akademia Teologii Katolickiej" w Leningradzie i podobna akademia na Bielanach, natchnieniem „księży patriotów" i „reżymowych katolików" jest — zdaniem polskiego księdza — „tamten", którego imienia nie wymienia się prawie w sowieckim imperium.

Niejeden z czytelników dostrzeże tu jedynie chwyt literacki, użyty dla wywołania napięcia dramatycznego. Czyż jednak spodziewający się wówczas lada dzień aresztowania Prymas nie przekaże tajnie do Francji przestrogi, by nie wierzono niczemu, co mógłby zeznać „przed trybunałami diabła"?

Wielokrotnie, choć z dużą dyskrecją, porusza Naurois bolesny problem współdziałania niektórych księży z władzą prześladującą ich religię, problem znany katolikom francuskim z doświadczeń Wielkiej Rewolucji.

*) Claude Naurois: „DIEU CONTRE DIEU?", Drame des catholiques progressistes dans une Église du Silence. Editions Saint-Paul, Fribourg — Paris, 1956.

Nie przemilczając i nie tłumacząc tych nieszczęsnych ludzi, wśród których duchowni w konflikcie z prawem kanonicznym, złamani szantażem i groźbą, sąsiadują ze zwykłymi odstępcami, pozostawia sąd nad nimi władzy duchownej. Sam koncentruje światła na współpracujących z reżymem świeckich działaczach katolickich.

Wśrod nich przewija się raz po raz sylwetka Jana Dobraczyńskiego, „słabego człowieka" „Paxu", na którym najlepiej może widać owo wspomniane przez Gabriel Marcela przeobrażenia się strachu w kłamstwo. Naurois nie odmawia mu ani pewnych osiągnięć literackich, ani prób poszukiwania prawdy; stwierdza jednak, jak bardzo ten wielbiciel i imitator Bernanosa różni się charakterem od swego mistrza. Mimo woli wyobrażamy tu sobie autora „Pod słońcem szatana", gdyby danym mu było stanąć oko w oko z panującym komunizmem. Ten gwałtownik i weredyk, który nigdy nikomu nie zawahał się powiedzieć i napisać prawdy (napisał ją i o zdradzeniu Polski w głośnym artykule ogłoszonym w roku 1945 w dniach największego zbliżenia rządu gen. de Gaulle do Moskwy) podzieliłby w Polsce Ludowej raczej los Doboszyńskiego niż karierę Dobraczyńskiego.

Książka „Dieu contre Dieu?" pozwala nam zapoznać się z wielu dokumentami, które świadczą o tym, że Kościół Milczenia nie milczał w obliczu kłamstw i oszustw komunistycznego rządu, że zwłaszcza Prymas i Episkopat nie milczeli nigdy, gdy trzeba było wystąpić w obronie więzionych biskupów i księży czy prześladowanych wiernych. Zebranie tych tekstów, które już samym swym językiem tak bardzo odbijają od „postępowej" frazeologii paxistów, udostępnienie ich cudzoziemcom jest wielką i trwałą zasługą autora. Przeważnie bardzo trafny, choć śmiały, jest też jego komentarz. Naurois nie kryje przed nami, że tzw. układ Episkopatu z rządem z kwietnia 1950 — podpisany nota bene w nieobecności kardynała Sapiehy, który bawił w tym czasie w Rzymie — połączony był z dużym ryzykiem wytwarzając zagranicą wrażenie jakiegoś głębiej sięgającego kompromisu czy nawet kapitulacji. W rzeczywistości było to ze strony Prymasa Wyszyńskiego wyjście bardzo daleko naprzeciw „cezarowi"; ale też okazało się, że z tej wysuniętej pozycji lepiej można obserwować nieprzyjaciela, skuteczniej bronić przed nim Kościoła. Tym mocniej zabrzmi też stamtąd w roku 1953 uroczyste „non possumus" biskupów w odpowiedzi na osławiony dekret z 9 lutego „O obsadzaniu stanowisk duchownych".

◆

Błędy książki? Znajdujemy ich, nawet w bardzo uważnym czytaniu, doprawdy niewiele. Na stronie 60 jest drobna, ale przykra pomyłka w imieniu: wydrukowano zamiast „Bolesław", „Stanisław" Piasecki, co mimo woli uwłacza pamięci redaktora warszawskiego „Prosto z Mostu", a później w latach wojny, konspiracyjnej „Walki", rozstrzelanego przez Niemców przed 15 laty w Palmirach. Niepotrzebne jest w pewnym momencie pouczenie polskiej emigracji, która rzekomo nie dostrzega przemian „na lewo" zachodzących od kilkunastu lat w Polsce; dostrzega ona i te i inne przeobrażenia, chociaż nie podnosi rąk za każdym razem, gdy ktoś zawoła: „pas d'ennemi a gauche!". Naurois zaopatruje od czasu do czasu nazwiska niektórych publicystów „Paxu" tytułem arystokratycznym. Otóż wydaje nam się, że jeśli pisząc o Polsce dla cudzoziemców dodaje się do nazwisk: Krasiński, czy Łubieński komentarz „hrabia", a nie dodaje się odpowiedniego komentarza przy nazwiskach: Wieczorek, Czuj czy Kotula, to może to być poczytane za próbę niezbyt kosztownej demagogii. Za mało, zdaniem naszym dowie się czytelnik „Dieu contre Dieu?" o tych polskich pisarzach i publicystach katolickich, którzy zamiast współpracy z okupantem, wybrali milczenie oraz o środowisku „Tygodnika Powszechnego" przed jego zamknięciem. Być może, że autor uznał, iż wychodzi to poza ramy tematu. Może szkoda.

Mimo tych paru zahaczeń, uważamy, że książka Naurois może być uznana za wzór dla publikacji tego rodzaju; wzór — przyznajemy — nie łatwy do naśladowania dla kogoś, kto byłby pozbawiony spostrzegawczości i temperamentu autora „Dieu contre Dieu?".

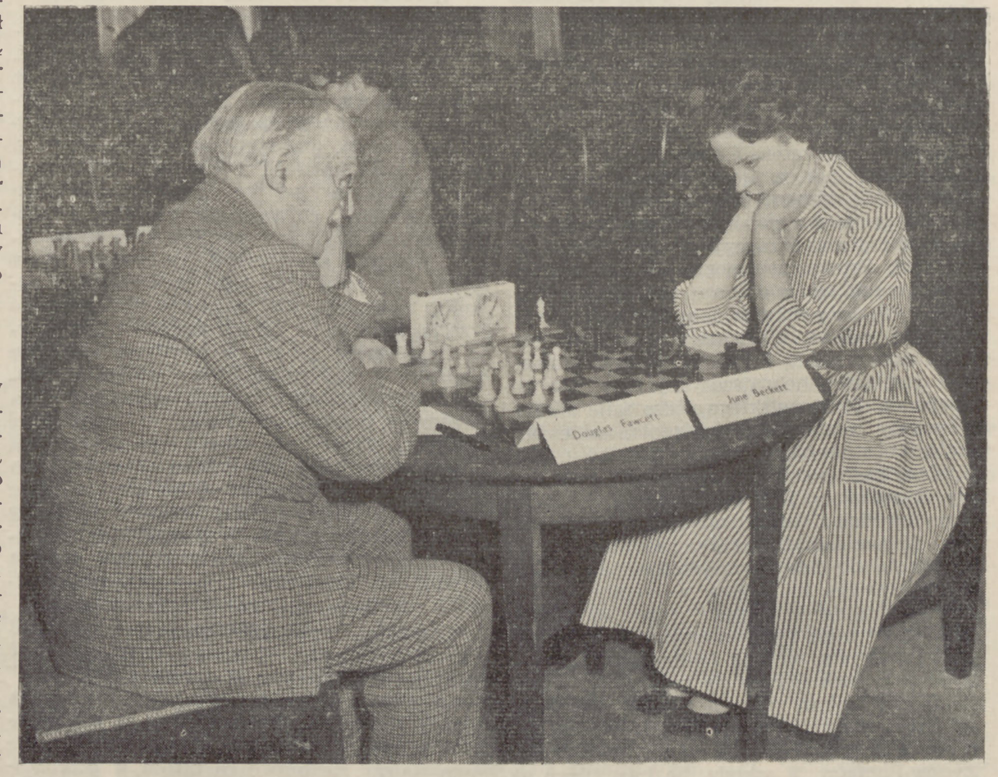
Osobna pochwała należy się grafikowi, który skomponował znakomicie oddającą nastrój książki okładkę.

Na dowód, jak bardzo książka ta była we Francji potrzebna, przypomnijmy wydarzenia sprzed paru laty: Kiedy po haniebnym procesie i skazaniu biskupa Kaczmarka podjęto we Francji, pod auspicjami Polskiej Misji Katolickiej, inicjatywę zbierania podpisów pod protestem, jaki miał być przesłany do Warszawy, znaleźli się wybitni katolicy francuscy, a wśród nich pewien bardzo znany pisarz, którzy odmówili swego podpisu motywując to brakiem pewności, że biskup istotnie „nie mieszał się do polityki". Dziś, po rewelacjach Chruszczowa i świeżej tragedii Węgier, ci sami ludzie byliby zapewne bardziej skłonni wierzyć obrońcom torturowanego biskupa niż bolszewickiemu prokuratorowi. Dla nas jednak książka „Dieu contre Dieu?" jest także zadośćuczynieniem za tamte wątpliwości danym przez katolików francuskich prześladowanemu Kościołowi w Polsce. Przyznajemy zresztą, że główny ciężar winy spada na podróżujących swobodnie w tych latach emisariuszy „Paxu", nie mówiąc już o obrzydliwej roli, jaką odegrała wówczas cała, bez wyjątku, prasa „reżymowych katolików".

Ostatni rozdział książki poświęcony jest sprzymierzeńcom zachodnim ruchu Piaseckiego oraz właśnie owym „wyprawom misyjnym" polskich proroków „ulepszonej wiary". Znajdziemy w nim paralelę pomiędzy pismami w języku polskim jak „Dziś i Jutro" czy „Kierunki" a potępioną przez Episkopat francuski „La Quinzaine", cytaty z miesięcznika „Esprit" i zlekka przekręcone tezy niektórych artykułów Mauriaca. Dowiadujemy się nazwisk francuskich korespondentów posyłających artykuły do pism „Paxu" i zachodnich suporterów jego reprezentantów na międzynarodowych katolickich kongresach. Dziś łalność tych ostatnich określa Naurois, bardzo krótko i trafnie, jako pracę najcenniejszych agentów dyplomatycznych reżymu komunistycznego.

Książka kończy się znakomicie ułożonym przeglądem wydarzeń z najnowszej historii Kościoła w Polsce. Zamykając ją pozostajemy jednak pod wrażeniem jednego z przedostatnich rozdziałów, w którym autor kreśli na tle tych historycznych wydarzeń sylwetkę kardynała Stefana Wyszyńskiego. Poprzez ścisły oszczędny opis faktów poprzedzających jego aresztowanie i warunków, w jakich był więziony, wyrasta postać człowieka naprawdę odpowiedzialnego za losy Kościoła w Polsce, który w tej świętej wojnie z podstępami złego ducha odnosi na naszych oczach pierwsze zwycięstwo. Zwycięża zaś dlatego przede wszystkim, że — ufny w pomoc Tej, co przyszła, by zetrzeć głowę węża — nie boi się swych prześladowców.

Maciej Cybulski



W ostatnim czasie na terenie W. Brytanii odbył się „tydzień szachowy", w którym wzięło udział ponad 3.000 graczy. Najwięcej zainteresowania wzbudziły partie pomiędzy starymi a młodymi. Na zdjęciu 90-letni filozof Douglas Fawcett rozpoczynający partię z 17-letnią June Beckett, w Londynie.

TEATR

„MEIR EZOFOWICZ"

„Polski Państwowy Teatr Żydowski" przybył do Londynu na miesięczne występy, z trzema sztukami: przeróbką sceniczną powieści Elizy Orzeszkowej „Meir Ezofowicz", z Jakuba Gordina „Mirele Efros" (rzecz dzieje się również w Polsce) i Szolema Aleichema „Mleczarz Tewie" (rzecz dzieje się w Rosji). Czym dla Polaków „Mazowsze", tym dla Żydów, zwłaszcza polskich, był w Londynie ten teatr żargonowy. Ale i Polakom nie mógł być obojętny. Po pierwsze, przybył z Polski, po wtóre, dał sztukę ze skarbca literatury polskiej i rozgrywającą się w Polsce (aczkolwiek, nie z winy Żydów, kraj Elizy Orzeszkowej nazywano w sztuce „Weisrussland"), po trzecie, pokazał wysoką kulturę sceniczną, tkwiącą korzeniami w polskich tradycjach teatralnych, po czwarte, wywołał uczucia, o których później.

Żydowski teatr żargonowy (jiddish) powstał w ostatniej ćwierci ubiegłego wieku w Polsce, założony przez Esterę Rachel Kamińską, wysokiej klasy aktorkę. W okresie dwudziestolecia niepodległości Polski dzieło jej kontynuowała córka Kamińskiej, Ida, która nadal jest kierowniczką artystyczną odrodzonego w roku 1949 teatru żydowskiego. W skład obecnego zespołu wchodzi też Rut Kamińska, córka Idy.

Odrodzony teatr żydowski cieszy się w Polsce dużym powodzeniem. Jesienią ubiegłego roku bawił na występach zagranicznych w Belgii i we Francji. Wizyta londyńska dostarczyła głębokich przeżyć artystycznych i narodowych Żydom z Polski i ze środkowowschodniej Europy, osiadłym w Londynie. Na sali teatralnej słyszało się przede wszystkim jiddish, przeplatany polszczyzną oraz językami niemieckim i angielskim. Bardziej prosta widownia reagowała żywiołowo i zgodnie z temperamentem narodowym, niemalże jednocząc się ze sceną, komentując i uprzedzając wypowiadane kwestie. Znaczna część publiczności przyjmowała natomiast „Meira Ezofowicza" już to jako starcświecką pamiątkę, już to z pewnym sarkazmem, a to dlatego, że przeróbka powieści Orzeszkowej posiada ostrze antytradycyjne, asymilatorskie i liberalne. Sztuka nie mogła zatem przypaść do serca ani sjonistom ani chasydom. Niemniej, wszyscy Żydzi skąpali się w mowie swoich przodków, która na scenie brzmi niemal pięknie, mimo że jest to gwara niemiecka z domieszką hebrajszczyzny i języków europejskich. Ucho polskiego widza mile uderzają wyrazy polskiego pochodzenia, takie jak: chate, bube (babka), pałac, sejm itd.

„Meir Ezofowicz" w scenicznej przeróbce Idy Kamińskiej jest dramatem dwu idej i dwu pokoleń. Istnieje uderzające podobieństwo ideowe sztuki i powieści Orzeszkowej z doskonałą nowoczesną powieścią o Żydach Stryjkowskiego pt. „Głosy w ciemności". Z samego założenia, sztuki tego rodzaju są ogromnie trudne i niewdzięczne do wygrania, gdyż postacie w nich są symbolami idej i wypowiadają niekończące się tyrady. A jednak Żydzi dali pokaz, jak ma wyglądać prawdziwy teatr. Na widowni nie dostrzegało się zbyt wielu Polaków, jeśli nie liczyć, oczywiście, Żydów-Polaków. A szkoda, bo nasi liczni aktorzy emigracyjni i kandydaci na aktorów powinni byli pielgrzymować do teatru „Wintergarten" na Drury Lane.

Nauczyliby się gestu, gry zbiorowej, mogliby się nasłuchać prawidłowej dykcji, która polega na tym, że głos pada ze sceny jak okrągły owoc, a nie jak miąższ bełkotu i krzyku. A przede wszystkim jest w tym teatrze żydowskim koncepcja i nastrój — jakiejś spokojnej melancholii, prawie starogreckiego fatalizmu. A to jest przecież istota teatru.

Zobaczyliśmy w „Meirze Ezofowiczu" Żydów, tak jak ich pamiętamy, z ich smutną zadumą a zarazem gwałtownością i okrutnym fanatyzmem, z humorem i potulnością ich kobiet, z ich narodowo-religijną wyłącznością, zamiłowaniem do gestu i nieartykułowanych głosów, z ich charakterystycznymi rysami, słowem, z ich nieprzeniknioną obcością, która bodaj najbardziej ciążyła im samym.

Gra całej obsady była bardzo wyrównana, jednak nad wysoki poziom ogólny wybijały się doskonałe indywidualności aktorskie: I. Grudberga w roli rabina Todrosa, Ch. Buzgana w roli mełameda Mojsze, M. Melmana w roli Saula Ezofowicza (ojca Meira), J. Bergera (Meira Ezofowicza), Szury Grynhaus jako Gołdy i Idy Kamińskiej — „bube" rodu Ezofowiczów.

Przepiękne dekoracje wedle projektów Iwo Galla i wzruszająca muzyka Albina Wolusa potęgowały urok tego urzekającego przedstawienia.

Ale ponad artystyczne przeżycia wybijał się niezwykły nastrój tego przedstawienia: dla nas, Polaków, którzyśmy przeżyli wojnę z dala od Kraju, głos ze sceny umęczonych Żydów brzmiał jakby z innego świata. Czy mógł on trafić do ich współwyznawców, którzy sobie urządzili życie na Zachodzie i przyszli do teatru wystrojeni, eleganccy, nie wiedzący co to nędza, i ucisk, i strach? Toteż wydawało się, że jiddish brzmi ze sceny londyńskiej jak testament, którego już nikt nie chce podjąć.

J. B.

„ZWIASTOWANIE" CLAUDELA

Po obejrzeniu dwu przedstawień „Zwiastowania" Pawła Claudela, przygotowanych przez zespół „Pro Arte", nasuwają się przede wszystkim trzy uwagi. Pierwsza, że najgorszym przedstawieniem jest zwyczajnie premiera. Co prawda, wszystko ma swoje granice, a więc i wyrozumiałość. Premiera „Zwiastowania" wyglądała na karykaturę ostatniego przedstawienia, co musi doprowadzić do spostrzeżenia numer dwa: że „Pro Arte" pozostanie teatrem amatorskim na wieki wieków amen. Do omówienia tego spostrzeżenia powrócę niebawem, aby najpierw wypowiedzieć trzecią uwagę: że dzięki zespołowi „Pro Arte" publiczność polska w Londynie może się zapoznać z najwybitniejszymi sztukami dramatu współczesnego, których, gdyby nie Olga Żeromska, publiczność ta nigdy by w życiu nie obejrzała. Dało nam więc „Pro Arte" już Lorkę, Anouilha i Claudela, a w zapasie ma nowego Lorkę i nowego Anouilha, a także Bernanosa („Dialogi karmelitanek") i szereg innych eksperymentów. Więc działalność amatorskiego zespołu „Pro Arte" jest summa summarum chwalebna i waży na szali polskich wysiłków kulturalnych na emigracji.

Byle tylko jego członkowie nie uwierzyli naprawdę, że to, co robią, można nazwać prawdziwym teatrem. W obsadzie „Pro Arte" tylko trzy panie ukazały się jako projekty na aktorki, a jedna (Nora Dreling w roli Matki) zagrała poprawnie. Wszystkim miłym panom należy się brawo za udział w przedstawieniu i chwackie noszenie starych kostiumów, lepiej jednak zamilczmy o ich aktorskich talentach. Nawet obiecujący Michał Kiersnowski sfuszerował tym razem piękną rolę.

Z pań natomiast na pierwszym miejscu stawiam Irenę Różycką w roli Wiolany. Tak, to jest prawie aktorka, która scenicznie wygląda, mówi i gra. Trzeba ją tylko jeszcze wielu rzeczy nauczyć.

Sama Olga Żeromska (także w roli Wiolany, na zmianę z Różycką) bardzo dobrze mówi, natomiast nie gra prawie wcale. A scena to jednak przede wszystkim gra. Węzłem dramatycznym „Zwiastowania" jest wzięcie na siebie przez Wiolanę winy wiarołomstwa. Takiej sceny nie można zbyć spuszczeniem głowy i pokornym szeptem. Prawdziwa aktorka winna ten moment wygrać, umieć pokazać gestem, mimiką, ekspresją walkę ze sobą, zmaganie się uczuć, rzucenie na ofiarę swojego życia. Oto pierwszy lepszy przykład niezrozumienia gry.

Wina Olgi Żeromskiej jest większa niż jej koleżanek, gdyż ona sztukę także inscenizowała i reżyserowała. „Zwiastowanie" to misterium. W interpretacji Żeromskiej nie było w nim nawet cienia misterium, chyba tylko to, że co chwila za kulisami wybuchały dzwony i nabożne pieśni. A w ogóle „Zwiastowanie" przedstawiono nam jako dramat nieledwie współczesny.

Aby nie być całkiem niesprawiedliwym, trzeba zauważyć, że w reżyserii błąkała się koncepcja, żeby tak rzec, witrażowa czy płaskorzeźbowa, to znaczy, że Żeromska usiłowała pokazać pewne postacie jakby płasko, jakby osoby z witraży w hieratycznym, zastygłym geście, w upozowaniu raczej niż w grze, opowiadające o własnych przeżyciach jakby to były czyjeś inne. Tak to właśnie w misteriach każą autorowie mówić posągom i malowidłom.

Ale, po pierwsze, jeśli tak (a tak chyba tylko można rozumieć grę Ojca i Mistrza Piotra), to z tego powstała łatanina, wobec równoczesnej namiętnej i wybuchowej gestykulacji i mimiki Szczęsnej Michałowskiej w roli Mary (zresztą trzeciej w zespole kandydatki na dobrą aktorkę), a zwłaszcza Bogdana Kozerskiego w roli Jakuba, któremu nie wróżę kariery scenicznej. A po wtóre, choć ta „płaska", monumentalna koncepcja sztuki zbliżyłaby ją do misterium, lecz na konsekwentną inscenizację misterium trzeba by nie takich głosów, nie takich gestów i nie takich póz. I zupełnie innej reżyserii.

Trudne sztuki, a więc zwłaszcza sztuki poetyckie, tylko wtedy wychodzą na scenie, gdy aktorzy doskonale znają swoje (i partnerów) teksty, oraz gdy rozumieją, co mówią. Pewien jestem, że tekstów nie opanowali, a niepewien, czy je rozumieli. Zresztą przekład „Zwiastowania" (Z. Wilczyńskiego i O. Żeromskiej), uczciwy w zasadzie, trudno określić jako poetycko kongenialny.

Misterium Claudela jest poetyckim moralitetem, i to powinien reżyser najstaranniej i drobiazgowo w koncepcji ogólnej i w poszczególnych rolach opracować. Niestety, zlekceważyła to Olga Żeromska, kładąc nacisk na „dramatyczność" intrygi, która ostatecznie dla poety była tylko pozorem do moralno-poetyckich wypowiedzi o Bogu i duszach ludzkich.

Dekoracje Jerzego Faczyńskiego tym razem nieudane i brzydkie w kolorze, kostiumy (w opracowaniu Nory Dreling) piękne. Nadużywanie płyt za sceną staje się manierą w teatrzykach emigracyjnych.

Na okładce programu ładny rysunek E. Warchałowskiego, wewnętrz nieco egzaltowana nota o Claudelu pióra O. Ż. Że Claudel jest „poetą łaski", na to zgoda, ale dlaczego „grzechu"?

Przedstawieniu patronował Instytut Polski Akcji Katolickiej.

J. B.

CYPR MALOWNICZY (2)

Napisał WIT TARNAWSKI

Nicosia 27. 4. 1941. — Tyle słyszało się o wpływach Wschodu na duszę Krzyżowców, o tym, że na pobojowiskach wschodnich zostawili oni cały żar religijny i męstwo, które prowadziły ich do Grobu Zbawiciela — a w miejsce tego wzięli w siebie i przywieźli do Europy jedynie przepych, rozwiązłość i najwyżej tajemną wiedzę Orientu. Kościoły Cypru uczą inaczej patrzyć na tę sprawę.

Trzeba podziwiać doskonałość i czystość gotyckiego stylu, jaki spotyka się w Nicosii, Famauguście i wszędzie na Cyprze, trzeba podziwiać już nie moc Wschodu, ale właśnie moc Zachodu nad duszami tych potomków rycerzy Krzyża, którzy przez dwa wieki, nie uronili tu na Cyprze nic z linii architektonicznych, jakie wynieśli ze swego kraju, którzy nie przyjęli ani jednego elementu z bujnej i zachłannej sztuki Wschodu. Wyraża się w tym uparta, mimo wszystko, wierność duchowi wypraw krzyżowych, choć ciała poczęły prędko grzęznąć w uciechach Wschodu; jest w tym świadectwo, jak zadziwiająco twarda i zdrowa musiała być atmosfera kościołów i domów zachodniego średniowiecza, skoro suwerenność jej przetrwała tak długo, nawet tu w królestwie pokus szatańskich i wyraziła się właśnie przeczystymi, harmonijnymi liniami cypryjskiego gotyku. A jeżeli kto zapyta, czy wolno, na podstawie znaków w kamieniu, odtwarzać historię ducha minionych dawno czasów, powiem, że z twarzy ludzkiej odczytuje się przecież charakter i przeżycia człowieka, choć twarz jest takim samym zewnętrznym zespołem linii i płaszczyzn, jak linie i płaszczyzny kamiennych budowli.

Pod jednym może względem Wschód, nie zmieniając istoty, nadał jakby gorętszy rytm szlachetnej i wzniosłej sztuce północnych budowniczych. Bujna ornamentyka, jaką się tu wszędzie spotyka, na przykład na portalach czy odrzwiach kościelnych, mnogość i niepokój liści, kwiatów i innych dzierzgań w kamieniu, które jak płomyki targane wiatrem pełgają wśród spokoju ostrołuków — oto jedyne, co może świadczyć, że znajdujemy się przecież w świecie nie linii architektonicznej, ale wschodniego ornamentu, że na rynkach Nicosii sprzedawano perskie dywany, a o kilka dni drogi okrętem można było dotrzeć do czarująco zawiłych wzorów meczetu Omara w Jerozolimie.

Kiedy kładę się spać wieczorem w hotelu i, po zgaszeniu świateł, otwieram okno, widzę czuby palm ponad dziedzińcem hotelowym, noc jest gwiezdna i ciepła, a leżąc już, słyszę długo dzwonienie strumienia wody, zda się tryskającej gdzieś opodal fontanny. Przed sześciuset laty inni ludzie, rycerze Północy, słuchali, w tym samym mieście, tegoż poszumu palm, ponocnego ciurkotu fontanny, tutaj pętał powoli ich surowe dusze miękki urok Wschodu. W sennej głowie zaczynają mi się snuć nazwy wieczystych przeciwstawień: Zachód i Wschód, surowość i miękkość życia, duch i ciało. Tu właśnie, na cypryjskiej wyspie, na granicy Wschodu i Zachodu, ścierały się od wieków te wszystkie potęgi, ale nigdy może z taką siłą — jak za dobrych Lusignańskich czasów. I z gorącości starcia wyrosły zapewne ówczesna bujność i bogactwo życia, gorącości starcia zawdzięczał ów okres swoją świetność, a potem szybki upadek.

Pafos, 29. 4. 1941. — Drogę z Nicosii do Pafos znam już, przebyłem ją i opisałem przed kilku tygodniami — z tą odmianą, że obecnie jechaliśmy w przeciwnym kierunku. Jeden szczegół był dla mnie w tej drodze dotąd nieznany i, jak się okazało, najbardziej godny poznania: pałac królewski w Vonii.

Na wysokim nadmorskim wzgórzu wznosi się, a raczej leży w ruinach, pałac mądrego króla Filokyprosa (takim imieniem ochrzcił go miejscowy przewodnik) z VI wieku przed Chrystusem — mądrego widać, bo umiał cudowne wybrać sobie na dożywotnią rokosz oczu miejsce. Pałac, to dzisiaj już tylko wielki i biały taras, na płaszczyźnie wzgórza, fundament wspaniałej niegdyś budowli, na którym znaczą się zarysy murów, kolumn, posągów i głębokich cystern. Ale taras jest wielki, olśniewająco od wapnia biały i otoczony krajobrazem tak pięknym, że zdawałoby się, trzeba by go sobie wpierw utworzyć w myślach i dopiero potem zrealizować, aby osiągnąć taką pełnię i doskonałość widoków.

Od tyłu obejmuje tę małą, ale cudowną włość króla Filokyprosa, amfiteatr gór Troodosu, o których dostojny łuk wszystko to się wspiera, a równocześnie jakby chroni pod osłonę. Przed nami, za morzem, na tureckim brzegu, rysuje się w mgłach oddalenia bladosiny łańcuch gór Taurus, z kresami śniegów, znaczącymi ich daleką wysokość. W morzu, po lewej, nurza się samotna i śliczna wysepka bez imienia, a po prawej podchodzą pomarańczowe w dzisiejszym słońcu góry Kyrenii.

Ale to, co w widoku porywa, co przykuwa i każe tu zostać, chociaż kierownicy wycieczki wzywają już do odwrotu, to kontrast białej tafli królewskiego tarasu i naprawdę jedynego, naprawdę nie widzianego dotąd przeze mnie, ciemnobłękitu morza. Ten biały taras, obramowany zewsząd błękitem śródziemnomorskim, to najmądrzejszy pomysł mądrego króla Filokyprosa.

Klasztor św. Neofyta. A dzisiaj, wczesnym rankiem, wybraliśmy się już bez młodzieży, która rwała się do morskiej kąpieli, już tylko małą gromadką, do greckiego klasztoru św. Neofyta, którego obejrzenie szczególnie zalecano mi w Nicosii. Prawosławne monastyry stanowią ważny wkład do historycznego życia Cypru, tają się one wszędzie w jego lasach i na szczytach, więc byłem bardzo ciekaw co zobaczę, byłem wewnętrznie na to nastawiony — i nie zawiodłem się.

Najpierw podjeżdża się tam łagodnym skłonem płyty wapiennej Pafosu, która od bliskich gór nachyla się łagodnie ku morzu, by zanurzyć się w jego opalowym, łaskawym błękicie. Ponoć wzdłuż całego, widzialnego stąd, wybrzeża, na przestrzeni wielu mil, miało w starożytności rozsiadać się stołeczne miasto tej wyspy Nea Paphos, niby jakiś ówczesny Nowy Jork.

Nie najlepszą, prawdziwie „polską", drogą, podjeżdżamy coraz bliżej do gór, które wystrzelają tu od razu z pochyłej płaszczyzny; ale choć przebyliśmy już prawie 10 kilometrów, które mają nas dzielić od celu podróży, nie widać ani klasztoru, ani jakiegokolwiek wyrastającego ponad zwyczajność miejsca, w którym można by klasztoru się spodziewać. Naraz, najniespodziewaniej, za jakimś zakrętem drogi, otwiera się tajemna szczelina ziemi, a za chwilę, u spływu jej stromych stoków, widzimy wtulone budynki monastyru. Miejsce jest prześliczne. Parów, zwrócony do południa, kąpie się po prostu w upale słonecznym, bujna zieleń drzew, zrodzona ze słońca i obfitej tu wody, wypełnia go po brzegi, a kiedy odwrócić wstecz oczy z całego Pafoskiego widoku, pozostała między ścianami parowu, jedynie błękitny, chłodny wycinek morza. Monastyr, pobudowany solidnie z kamienia, wznosi się ponad dużym ogrodem klasztornym, schodzącym tarasami aż do dna parowu. Widać, że ogród jest uprawny nadzwyczaj starannie i nawet teraz kręcą się po nim pracujący mnisi.

Wnętrze klasztoru odpowiada temu, co spostrzegło się od zewnątrz. Czysto w nim, cicho i dostojnie, choć całkiem prosto.

Mnisi witają nas godnie i życzliwie: musimy przed zwiedzeniem klasztoru wysiedzieć z nimi cały kwadrans w refektarzu, bawieni łamaną konwersacją grecko-angielską, która utyka co chwila, ale pełna jest najlepszej woli. Wreszcie zacni ojcowie uznają, że grzeczności stało się zadość, i prowadzą nas w pełnej asyście na obejrzenie klasztoru. W starej kaplicy, gdzie w pośród łat wapiennej pokrywy, zachowało się jeszcze dużo dawnych, ściemniałych fresków — pokazują nam pożółkły wierzch czaszki św. Neofyta, wyglądający z masywnej, srebrnej szkatuły. Obok, w zamkniętym sarkofagu, ma znajdować się cały szkielet tego patrona klasztoru, a na ścianie widnieje jego podobizna: dobrotliwa twarz starca, z długą, cienką brodą.

Z kolei idziemy do najświętszego miejsca monastyru: kościółka w niszy skalnej, którą przed ośmiu wiekami wyrąbał własnoręcznie w kamieniu ów św. Neofyt, i gdzie spędził potem swoje pobożne i pracowite życie. Kościółek ma tylko jedną zewnętrzną ścianę; reszta to nieforemna wnęka skały, pokryta starszymi jeszcze, niż w głównym kościele, i znacznie prymitywniejszymi freskami. Wnękę podzielono przepierzeniami na trzy izby: przedział dla wiernych, miejsce na ołtarz i ostatnią małę izdebkę, zamieszkiwaną niegdyś przez Świętego. Stoi tu niski stolik, wyrobiony w kamieniu, obok jest ławka kuta w ścianie skalnej a nad nią dwie małe półeczki, gdzie spoczywały zapewne podręczne książki i pisma . Św. Neofyt bowiem, jak objaśnie mnie łamaną angielszczyzną jeden z mnichów, był znanym pisarzem na Cyprze w XII wieku — i widzę niemal jego starą głowę, pochyloną w zamyśleniu nad stolikiem, widzę rękę zapisującą pracowicie małymi literkami karty pergaminu rozłożone na stole. Nie wiem tylko, jak starzec radził sobie ze swoją długą brodą, która musiała spadać na stół i przysłaniać mu litery pisma; może po prostu wtykał ją za pas czy sznur, którym był przewiązany jego płaszcz mniszy.

Ze skalnego mieszkania Świętego wracamy pod drewniany krużganek klasztorny, do którego przytykają mieszkania mnichów. Ku stronie południowej krużganek jest otwarty i wygląda na cząstkę błękitu morza, na ciasny wąwóz, który ku temu morzu prowadzi i na tarasy ogrodu, ścielące się bezpośrednio pod krużgankiem. Ten widoczek — to cały „wielki świat" klasztoru. Niczego więcej zdają się tu poza nim nie pragnąć.

(**Dalszy ciąg nastąpi**)

LUDZIE I ZDARZENIA



Linia „Dauphine", to nowa, choć na pewno do dawnych wzorów nawiązująca fryzura, jaką salon Carita Alexandre zaprezentował królowej Elżbiecie II w czasie jej wizyty w Paryżu. Przyznać trzeba, że oryginalnej modelce (podobnej do świetnej artystki dramatycznej, Marii Casares) jest w tym uczesaniu bardzo do twarzy.

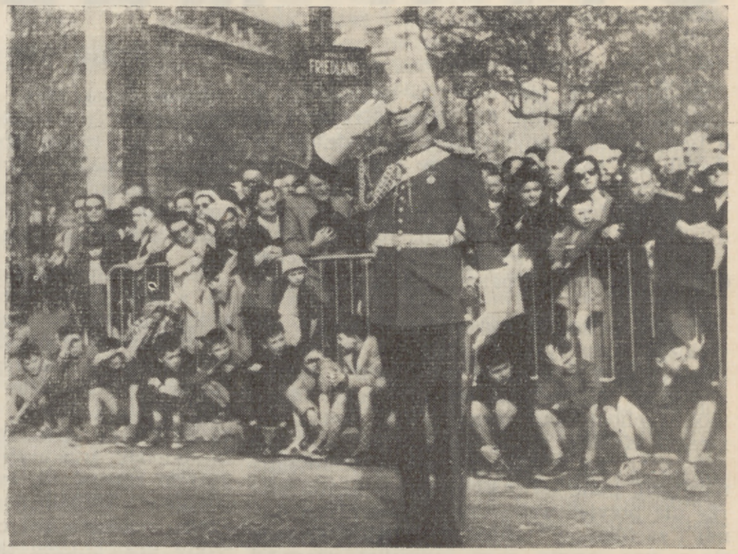
*

Pacyfikacja Algerii, to nie tylko przedsięwzięta przez armię francuską próba likwidacji zbrojnych oddziałów tzw. Frontu Wyzwolenia, nie tylko obławy, zamachy i walki prowadzone przez obie strony bezwzględnie, nierzadko z okrucieństwem (o które szczególnie chętnie oskarża się najbardziej skuteczne w działaniu bataliony francuskich spadochroniarzy-komandosów). To także codzienna, pełna poświęcenia praca francuskich nauczycieli, inżynierów i lekarzy, który, stale narażeni na kule i bomby terrorystów, wykonują swe zadania w warunkach nieraz niezwykle ciężkich. Na zdjęciu: młody francuski lekarz wojskowy opatruje na ulicy zranioną nogę muzułmanina z okolic Sidi-Alibunai.

*

Aktorzy Komedii Francuskiej, klasycznego teatru państwowego utworzonego w roku 1680 dekretem Ludwika XIV, przyjęci byli niedawno przez Ojca św. Okazję po temu dały występy słynnego francuskiego zespołu w Rzymie. Papież przemówił do artystów wyrażając podziw dla ich szkolonego talentu i pięknego stylu gry, co jest tak ważne przy odtwarzaniu dzieł wielkich mistrzów teatru.

*



„Entente Cordiale", przymierze brytyjsko - francuskie oparte na zbieżności celów politycznych i wzrastającej od początku bieżącego stulecia wzajemnej sympatii obu narodów (przez długie wieki „dziedzicznych wrogów"), ukazało się w nowym blasku przy okazji wizyty Królowej w Paryżu. Cała prasa europejska przepełniona była przez szereg dni rewelacjami i fotografiami z tego królewskiego naprawdę przyjęcia, jakie IV Republika zgotowała Elżbiecie II. Zdjęcie nasze przedstawia brytyjskiego gwardzistę na Place de l'Etoile, u wylotu Avenue Friedland, nazwanej tak na cześć napoleońskiego zwycięstwa nad Rosjanami sprzed 150 lat. Właśnie, pod uważnym okiem paryskich „gamins" odbywa się próba przybycia orszaku królewskiego pod Łuk Tryumfalny, gdzie pochowany jest Nieznany Żołnierz poległy za Francję.

*

Szach perski Reza Pahlewi otrzymał w tych dniach od sowieckiego premiera Bułganina „skromny upominek". Jest nim dwumotorowy samolot typu „Iliuszyn" wykończony ze szczególnym luksusem. Samolot ma w środku bar, kuchnię, łazienkę oraz komfortowy salon z kanapami i fotelami.



Robert Oppenheimer, o którym, w przeciwieństwie do poprzednich lat, niewiele się słyszało, zaproszony został niedawno przez uniwersytet Harvard do wygłoszenia cyklu zasadniczych i reprezentacyjnych wykładów. Wyróżnienie to wywołało w opinii amerykańskiej falę protestów; „wara mu od wpływu na młodzież!" warknęły wielkie dzienniki amerykańskie, które zarzucają Oppenheimerowi wyznawanie hinduskiej zasady niesprzeciwiania się złu, tj. Sowietom i komunizmowi. Między innymi wypomina mu się to, że w czasie krwawej represji na Węgrzech był on jednym z niewielu wybitnych uczonych amerykańskich, którzy nie zdobyli się na potępienie użycia czołgów i kulomiotów przeciwko żądającym wolności robotnikom. Kariera Oppenheimera nosi na sobie piętno rozterek i skrupułów, z którymi ten wybitny uczony i myśliciel nigdy nie umiał sobie dać rady. W roku 1939 nie wierzył on jeszcze w możliwość zbudowania bomby atomowej, a raczej nie mógł przezwyciężyć tego, co później nazwano „barierą psychologiczną" w odniesieniu do jej realizacji. Wojna w Europie niszczy świat jego czysto naukowych spekulacji. Hitlerowska masakra ludzi tej samej co Oppenheimer rasy, przełamuje dotychczasowe wewnętrzne opory. Buduje straszne narzędzie totalnej śmierci i oddaje je w ręce rządu swego kraju. Fakt, że bomba atomowa zamiast na głowę Hitlera spada na japońskie miasta, stanowi dla Oppenheimera nowy głęboki wstrząs. Jak mu to później udowodniono, celowo opóźnia on prace nad nieporównanie potężniejszą bombą wodorową. To właśnie spóźnienie dało Rosji Sowieckiej trzy lata awansu przed Stanami Zjednoczonymi w dziedzinie najnowocześniejszych broni. Pociski kierowane, którymi niedawno groził Zachodowi Bułganin są w dużym stopniu rezultatem skrupułów Oppenheimera. Na żądanie ludzi odpowiedzialnych za obronę i bezpieczeństwo Ameryki został on przed paru laty usunięty ze wszystkich stanowisk urzędowych. Obecnie wydaje się, że pewne koła naukowe w Stanach Zjednoczonych usiłują Oppenheimera rehabilitować.

*

Printed by Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.